BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

—✳—

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:	Z przesyłką pocztową.
Rocznie (52 tomy) rs. 10	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670, we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 203.

ESTER

POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEWOLI BABILOŃSKIEJ

przez

Ks. BOLESŁAWA MARYAŃSKIEGO.

TOM II.

Cena 40 kop.
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.
1904.

ESTER.

Ks. BOLESŁAW MARYAŃSKI.

ESTER

Powieść z czasów niewoli babilońskiej.

TOM II.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Сентября 1901 года.

174039

VII.

Słońce prażyło każdego, kto był zmuszony chodzić po ulicach Suzy; to też niewielu było takich, bo wszyscy pochowali się do suteren. Powietrze było duszne; niebo jakby zachmurzone; kapłani już od kilku dni przepowiadali burzę. Wszystko było jakby w pół śnie.

W bramie sądowej panował jednak względny chłód, zwłaszcza w sercach dostojnych sędziów, których aż siedmiu siedziało obojętnie na wysokich taburetach.

Przewodniczył im Haman w towarzystwie Charszny i Marszny.

Przed sędziami na nizkim stoliku leżały cegiełki, na których wypisane były artykuły praw. Po bokach stali żołnierze i „oczy i uszy" [1]) królewskie; przed nimi siedzieli lub stali pisarze, tłómacze i inni urzędnicy sądowi.

Spraw było sporo; niektóre — bardzo ważne — wymagały sumiennego zbadania, bo trudno się było połapać w rozwlekłych i niejasnych zeznaniach świadków; ale dostojni sędziowie drzemali spokojnie, co

---

[1]) Policya.

było winą ich wieku podeszłego, ich nieznajomości praw, no i tej spodziewanej burzy, która tak do snu usposabiała.

Wedle kodeksu perskiego każdego winowajcę osadzano w więzieniu. Potem dopiero sądzono. Obowiązkiem sędziów było zbadać dawniejsze jego cnoty, porównać je z występkiem, którego się dopuścił i osądzić, czy przewyższa występek, czy cnoty. Jeżeli cnoty były większe, to wydawano wyrok uniewinniający, jeżeli przewyższały występki, ale były wielkie, to łagodzono karę.

Między pisarzami siedział Mardochai i Zammamanaddin. Mardochai przysłuchiwał się pilnie każdej sprawie, rad poznać prawa i sprawiedliwość pogan. Ciekawiły go występki i wyroki, jakich w Jerozolimie nie bywało. Zammamanaddin poszedł za przykładem sędziów i chrapał w najlepsze.

Najbardziej zaciekawiała Mardochai sprawa trucia.

Żołnierze wprowadzili przed dostojnych sędziów młodzieńca w kajdanach i niewiastę skrępowaną powrozami.

Młodzieniec patrzył ponuro w ziemię, niewiasta płakała. Płacz jej przebudził drzemiących sędziów i zaostrzył ich ciekawość.

Wystąpił oskarżyciel i mówił:

— Dostojni i sprawiedliwi sędziowie, których nic nie zdoła nakłonić do wydania wyroku niesprawiedliwego; których wielka mądrość i wielka cnota jaśnieje jak wspaniała gwiazda wielkiego Ahuramazdy. Oby ten wielki Ahuramazda, błogo płynąca, uzdrawiająca, niechętna diwom, godna uwielbienia świata cielesnego, czysta Ardwisura, Anakita, opiekuńczy Frawaszowie, błogosławiony Tistria i wszystkie bogi wielkie i potężne, udzieliły dostojnym sędziom i panom moim sto lat zdrowia i pomyślności.

Oto ja Dunanu, osiadły kupiec w sławnem mieście Suzie, pojąłem za małżonkę tę oto Kosmartydenę, córkę Essarhaddona. I gdym nie był w łożnicy swej, bom załatwiał sprawy handlowe w mieście Madakta, ten oto Madyas, setnik wojsk scytyjskich, uwiódł mi niegodziwie małżonkę moją, niegodziwą Kosmartydenę. Bo niewolnicy moi widzieli, jak niecna ta niewiasta wyszła do ogrodu wśród nocy ciemnej i ukryła się w altanie z tym niecnym Madyasem. Oby ich zdusił tam potężny Andromania [1]). Proszę dostojnych sędziów, aby ukarali śmiercią niegodziwego Madyasa i niegodziwą Kosmartydenę i ciała ich kazali przybić do krzyża ku ogólnej sromocie. Niech każdy oficer królewski wie, że nie wolno uwodzić cudzej niewiasty i nie wolno wdawać się z dziewczętami. Dziś gdziekolwiek stoi wojsko załogą, dopuszcza się gwałtów i bezprawi i uchodzi mu to bezkarnie; ale nie powinno się to dziać przynajmniej w Suzie, gdzie są tacy sprawiedliwi i mądrzy sędziowie.

— Prawdę mówi! — zawołał tłum. — Ukarać zbrodniarzy!

— Uciszcie się!—przerwał Haman—należy wysłuchać obwinionych. Mów, Kosmartydeno!

Niewiasta wśród głośnego szlochania mówiła:

— Nic niewinnam. Poszłam do ogrodu, bo noc była ciepła, księżyc świecił, a w pokoju było duszno; spać nie mogłam. Cóżem ja winna, że spotkałam Madyasa, który nie wiem zkąd się wziął w ogrodzie...

— Prawdę mówi!—wołano w tłumie.—Nie zasłużyła na śmierć.

Haman się uśmiechnął, zadowolony, że oficer

---

[1]) Aryman—złe bóstwo.

królewski wyjdzie cało z tej całej awantury, i zwracając się do Madyasa, rzekł:

— A ty, Madyasie, co powiesz na swoją obronę?

— Cóż mam powiedzieć, skoro wasza dostojność wie, iżem niewinny? Miałem interes do Essarhaddona, więc poszedłem do jego domu, a że tylne drzwi były niezamknięte, wszedłem do ogrodu, bo tędy bliżej. No i spotkałem wypadkiem Kosmartydenę, ale jej krzywdy żadnej nie uczyniłem, niech sama powie.

— Słyszeliście? — zawołał Haman do tłumu. — Madyas powiada, że nie skrzywdził Kosmartydeny.

— Ale ją w ucho całował! — przerwał Dunanu.

— Więc cóż w tem złego?—odrzekł Madyas. — W Babylu kobiety same przychodzą do świątyni bogini Militty i ofiarują swe wdzięki cudzoziemcom. A żaden z nich nie poprzestaje na samem tylko całowaniu i mężowie nie gniewają się o oto.

— Tu nie Baby! — zawołał Dunanu—ale Elam, tu nie wolno całować w ucho cudzych żon.

— Nie Elam, ale Persya — poprawił ostro Haman. — Pamiętaj o tem zawsze, że tu Persya. Słyszysz, Dunanu?

— Wedle rozkazu waszej dostojności słyszę i będę zawsze mówił, że tu jest Persya, nie Elam; ale ukarz, o panie, tego młodzika śmiercią, niech nie bezcześci cudzej niewiasty.

— Alboż ja zbezcześciłem Kosmartydenę?—zawołał Madyas.—Przestań mnie oskarżać, Dananu.

— Całowałeś ją.

— Nie całowałem. Niech powie Kosmartydena, czy to prawda.

— Nieprawda—rzekła Kosmartydena.

Dunanu skinął.

Wystąpiło z tłumu dwóch jego ludzi.

— Powiedzcie—rzekł do nich Dunanu— wysokiemu sądowi, coście widzieli.

— Powiedzcie, powiedzcie!—ryknęły tłumy.

Upadli na twarz, ucałowali ziemię i jeden zaczął mówić:

— Gdy pan nasz, dostojny Dunanu, wyjechał, przyszedł w nocy ten oficer i był w łożnicy pańskiej; potem wyszedł do ogrodu, objął niewiastę jego dostojności i całował w ucho; potem, gdy księżyc zaszedł, ukrył się z nią w zielonym domku, a myśmy patrzyli przez szpary. Gdy pan nasz powrócił, powtórzyliśmy mu to wszystko.

— Kłamią te psy podłe! — zawołał Madyas. — Szukałem Essarhaddona, do którego miałem interes; byłem więc w domu Dunanu, ale go nie znalazłem. Spotkałem Kosmartydenę i szeptałem jej do ucha o tym interesie, bo nie chciałem, żeby nas kto słyszał, a ona zaprosiła mnie do altany, gdzie swobodniej można było rozmawiać.

— To tylko wykręty śmieszne, sprawiedliwy sędzio—rzekł Dunanu.—Któż może wierzyć, żeby Madyas naprawdę miał interes do Essarhaddona i szukał go w nocy w moim domu, kiedy Essarhaddon spał wtenczas w swoim?

— Nie było w zielonym domku—dodał niewolnik—mowy żadnej, jedno całowanie i wzdychanie.

— Cóż przecie robili tam oskarżeni? — zapytał Charszna.

— Widzieć dobrze nie mogliśmy, bo było ciemno.

— Jakże można potępiać Madyasa i Kosmartydenę, skoro nikt nie widział, co robili w altanie? — zawołał Haman.

— Zbrodnią jest niesłychaną w całej Sune — rzekł Dunanu—aby niewiasta z dobrego rodu miewa-

ła schadzki z oficerem. Żądam na nich kary wedle surowości praw perskich.

— Zawinili — krzyczał tłum — niech umrą śmiercią.

Haman powstał i rzekł:

— Żądacie kary?

— Żądamy!—wołano zewsząd, bo Dunanu miał licznych krewnych i przyjaciół i wszyscy pragnęli zemsty za krzywdę, jaką mu wyrządzono.

Haman skinął i jeden z pisarzów zaczął wyliczać cnoty Madyasa, który był dzielnym oficerem i odznaczył się wiele razy męztwem.

Gdy skończył, Haman rzekł:

— Słyszeliście cnoty Madyasa, które są nie małej wartości. Byłoby barbarzyństwem domagać się śmierci na oficera, który posiedział nieco z młodą kobietą. Kosmartydena zaś młoda, niedoświadczona, nie wiedziała zapewne, że Dunanu tak się o to rozgniewa. Sąd przeto nie może wydać wyroku śmierci, bo nie dowiedziono, czem się schadzka skończyła. Żeby jednak nie dawać innym niewiastom pochopu do podobnych wypadków, skazujemy oskarżonych na sromotę. Madyas będzie nosił Kosmartydenę po ulicach Suzy do wieczora, a to wedle praw perskich. Zgadzacie się na to, dostojni sędziowie?

— Zgoda! — zawołali sędziowie — niech Madyas nosi Kosmartydenę!

— W imię Pana i króla naszego Achaszwerosza wyrok wypisać i w tej chwili spełnić! — zawołał Haman.

Podczas gdy pisarze pisali wyrok, zbliżyło się do Kosmartydeny dwóch oprawców. Rozebrali ją do naga, przywiązali powrozami do szyi Madyasa i poprowadzili biednego młodziana po ulicach Suzy. Dwaj dobosze szli naprzód i, bębniąc, zwracali uwagę przechodniów.

Tymczasem wystąpił Habakuk, kupiec z narodu izraelskiego, uprowadzony z Niniwy, przeciw Harpagonowi, urzędnikowi dworskiemu.

Habakuk mówił:

— Bóg, który wszystko stworzył, niech da sto lat zdrowia i pomyślności panom moim dostojnym, mądrym i sprawiedliwym sędziom... Oto ja, Habakuk, kupiec, ciężko pracujący, pożyczyłem temu oto Harpagonowi, wysokiemu urzędnikowi najpotężniejszego króla i pana naszego, najjaśniejszego Achaszwerosza, pięćset darejków. Dostojny Harpagon, nietylko nie chce oddać tego długu, ale, rozgniewany na mnie, przyszedł do mego domu niby szukać kradzionych towarów i zabrał mi najlepsze wina i drogie tkaniny babilońskie. Proszę dostojnych sędziów, panów moich, aby ukarali Harpagona za nieprawną rewizyę i kradzież wina i tkanin wedle praw i sprawiedliwości perskiej i nakazali mu oddać dług pięćset darejków.

Haman poruszył się niespokojnie na swej stolicy. Nie podobało mu się, że jakiś tam izraelita oskarża urzędnika dworskiego o rabunek i niewypłacalność. Z przyjemnością wyliczyłby mu pięćset kijów zamiast darejków, aby więcej nie podawał skarg na urzędników królewskich. Ale należało się liczyć z tłumami, które głuchym pomrukiem wyraziły swe oburzenie przeciw Harpagonowi.

Skinął więc na Mardochai. Ten wziął z rąk tabliczki rewersowe i zaczął czytać:

— Pięćset darejków złotych [1]), dług Habakuka, kupca Harpagonowi, dozorcy śpichlerzów królewskich... Harpagon wypłaci sto darejków w miesiącu tasritu; on wypłaci dwieście darejków w miesiącu kisiliwu;

---

[1]) Przeszło 3,000 rubli.

on wypłaci dwieście darejków i procenty czterdzieści drachm srebra w drugim miesiącu roku czwartego podwyższenia Achaszwerosa, króla Persów i Medów. Świadkowie: Marduk Balatihit, ofiarnik Boga; Zorobahel syn Saduna, kupiec i Ariaspes, syn Arsamesa, pisarz. W mieście Suzie, dnia dwudziestego piątego miesiąca nizanu, roku podwyższenia Achaszwerosza, króla, trzeciego.

Na cegiełce była pieczęć Harpagona i podpis, wyciśnięty paznogciem.

Świadkowie byli obecni.

Haman zmarszczył brwi i zaczął żywo szeptać do ucha Charszny, a potem Marszny; ale ci dygnitarze kręcili głowami i nic mu nie odpowiadali, więc ze złością zawołał:

— Czemuż nie oddajesz długu, Harpagonie?

— Bo nie jestem dłużny — odrzekł spokojnie Harpagon.

— Jakżeż nie dłużnyś!—krzyknął gniewny Haman.—Przecież tabliczki i świadkowie mówią.

— Winien jest, winien!—wołał Habakuk i świadkowie.

— Słyszysz!—przemówił Marszna.

— Jam od niego pieniędzy nie pożyczał.

— Czemużeś więc napisał tabliczkę?—krzyknął wściekły Haman.

— Napisałem nie za siebie — odrzekł najspokojniej Harpagon—tylko za wydatki dworskie.

— Jakże to?

— Kupiec Habakuk dostawił do śpichlerzy królewskich woły, wino i zboże. Nie miałem wtedy pieniędzy, więc napisałem cegiełkę.

— A czemuż nie płacisz pieniędzy?

— Jakże mogę płacić, skoro woły pozdychały; wino skwaśniało, a zboże myszy zjadły? Czemuż to kupcy dają takie towary?

— Prawdę mówi!—rzekł Haman.

— Prawdę mówi! — odezwało się kilka głosów z pośród tłumu.

Habakuk wiedział, że trudno wygrać sprawę z urzędnikiem perskim. Wiele podobnych spraw przegrywano, a jeszcze później prześladowano skarżącego; to też nie dziwiło go tłómaczenie Harpagona i przyznanie mu słuszności przez Hamana; ale nie był przygotowany na tak dziecinne wykręty. Gdy jednak zapanowało milczenie i wszyscy czekali na jego odpowiedź, pogłaskał brodę i rzekł:

— Harpagon powiada, że woły pozdychały; niech więc okaże ich trupy. Mówi, że wino skwaśniało, niech odda je skwaśniałe pod moją pieczęcią. Powiada, że myszy zjadły zboże, więc pocóż nie wytępi robactwa w śpichlerzach królewskich? po co sypie zboże tam, gdzie są myszy? Taki to z niego dozorca spichlerzów?

Ale Haman przerwał mu gniewnie:

— Nie ucz urzędnika królewskiego, jak ma spełniać swoje obowiązki. To do sprawy nie należy!

— Tłómacz się, Harpagonie!—rzekł Charszna.

— Woły zdechłe psy pożarły; wino potruło biesiadników, więc resztki kazałem wylać, a myszy przyszły z innych spichrzów; najprawdopodobniej zostały przyniesione razem ze zbożem przez ludzi Habakuka.

— Prawdę mówi! — krzyknął ktoś w tłumie. — Kupcy robią takie sztuczki, żeby więcej od nich kupować.

— Osądź sam, Habakuku!—rzekł z powagą Haman. — Jak możesz żądać zapłaty za rzeczy, które zginęły?

— Niech on patrzy! — zawołał Habakuk — mnie to nic nie obchodzi.

Haman szarpnął się za brodę i rzekł:

— Ależ tyś niesprawiedliwy, człowiecze!

— Habakuk niesprawiedliwy!—wołał tłum.

— Jakżeż możesz gubić człowieka, który nic nie zawinił?—dodał Marszna.

— Zawinił—krzyknął rozgniewany Habakuk—bo wziął pieniądze ze skarbu królewskiego, a mnie nie oddał, tylko schował dla siebie.

Haman spojrzał piorunująco na Habakuka i zacisnął zęby; Charszna i Marszna poruszyli się niespokojnie; inni sędziowie wytrzeszczyli oczy. Zapanowała cisza.

Wreszcie Haman zawołał zmienionym od gniewu głosem:

— Jak śmiesz mówić takie rzeczy przeciw urzędnikom królewskim!... Ty, człowiek z obcego narodu, przychodzień i niewolnik w państwie króla Ahaszwerosza śmiesz sądzić Persa i urzędnika królewskiego?

Odwaga zaczęła prędko opuszczać biednego Habakuka; stracił pewność wygranej, zwłaszcza, że strach już brał się do jego łydek i powoli rozszedł się po całem ciele. Pięćset darejków przepadło, a Haman gotów go jeszcze ukarać za obrazę urzędnika.

Milczał więc.

Ale przystąpił Mardochai. Rozgniewany i zdziwiony tą jawną niesprawiedliwością sądu, rzekł:

— W archiwum jest dowód, jako Harpagon wziął ze skarbu pięćset darejków dla kupca Habakuka za dostawione przez tegoż woły, wino i zboże do spichrza królewskiego. Mogę świadczyć razem z pisarzem Zammamanaddinem.

— Tak, tak — odrzekł Zammamanaddin — będę świadczył...

Haman rzucił na niego spojrzenie, pełne pogardy.

— Ty, pisarz królewski, występujesz przeciw urzędnikowi?

— Chodzi mi o sprawiedliwość.

— Tyś nie sędzia, mój pisarzu!—do ciebie należy słuchać, pisać, co nakazano, i milczeć — rozumiesz—milczeć.

Mardochai jednak nie uląkł się surowych słów Hamana, lecz zwróciwszy się do Habakuka, rzekł:

— Jeżeli zaapelujesz do króla, możesz mnie powołać na świadka.

Haman wściekał się ze złości.

— Ty podmawiasz do buntu przeciw sądowi królewskiemu!—wołał.—Ty, pisarz?! Pilnuj się, żeby ci to zuchwalstwo na złe nie wyszło.

Poczem zwrócił się prędko do Habakuka i hamując gniew, rzekł spokojnie:

— Cóż, pogódź się z Harpagonem?

— Jak mi zapłaci dług, to będzie zgoda — wyrzekł ośmielony Habakuk.

— Pogódź się — przemówił Charszna—weź połowę, bo możesz wszystko stracić. Należy być przecie sprawiedliwym, boć sam to rozumiesz, że woły mogły i u ciebie pozdychać, mogli cię złodzieje okraść, zresztą mogło cię spotkać jakie inne nieszczęście.

Habakuk jednak nie bardzo mógł zrozumieć, co to wszystko ma do jego długu u Harpagona. Że go nie okradli złodzieje, więc chcą go zato koniecznie okraść urzędnicy, że mu woły nie pozdychały, że go nie spotkało żadne nieszczęście, to zato ma zapłacić Harpagonowi dwieście pięćdziesiąt darejków. Na jakiej zasadzie, nie mógł w żaden sposób pojąć; — stał więc i myślał, co prześwietni sędziowie uważali zapewne za zgodę, bo dostojny Marszna zwrócił się niejako z prośbą do Harpagona:

— Daj połowę, Harpagonie, niech będzie twoja strata, niech poznają ci obcy przybysze, że urzędnicy perscy są bardzo uczciwi.

Harpagon teraz zaczął się namyślać, a sędziowie coraz natarczywiej namawiali do zgody, więc w końcu rzekł:

— Napiszę mu tabliczkę na dwieście pięćdziesiąt darejków i niech będzie zgoda.

Habakuk po długim namyśle przyszedł wreszcie do przekonania, że trzeba brać, co dają, bo z Persami nie łatwa sprawa. Sędziowie są sprzedajni, niesprawiedliwi, złodzieje, jak i wszyscy urzędnicy. Każdy z nich wyciąga łapę, każdy nienasycony; dobrze jeszcze, gdy się z sobą pokłócą, wtenczas łatwo zrobić interes, bo jeden działa przeciw drugiemu, a że się boją wzajemnie, więc muszą postępować uczciwie. Ale to się rzadko zdarza. Zgodził się więc na połowę, ale nie chciał tabliczki, czyli wekslu, lecz domagał się gotówki. Po długich targach, krzykach, spieraniach się otrzymał ją wreszcie i zadowolony z tego, opuścił bramę sądową.

Po skwarnym dniu nastał bardzo przyjemny wieczór. Ożywiły się ulice, po których snuły tłumy, wesoło rozmawiając, a z natłoczonych dachów rozlegały się głośne śpiewy i radosne wybuchy śmiechów. W piwiarniach lepszego i gorszego gatunku brzmiały *arabbebachy*, *zurny*, *defy* i inne instrumenty przy ogłuszających okrzykach pijanych gości.

Mardochai wyszedł z bramy pałacowej, zeszedł po schodach na ulicę i skierował się ku rzece. Był zgnębiony dzisiejszym sądem i całą tą komedyą sprawiedliwości, chciał nieco w gaju nad wodą odetchnąć. Ruch na ulicy, śpiewy i śmiechy na dachach, gdzie szczęśliwe rodziny wieczerzały, bawiąc się wesoło, wrzaskliwy krzyk w piwiarniach przejmowały go gniewem i tęsknotą do ukochanego kraju. Był smutny i samotny wśród tego rozbawionego tłumu. Przyśpieszył kroku.

Wtem ktoś trącił go lekko.

— Szalom leda, Mardochai?

— Szeal leszlom!—odrzekł, oglądając się—ah, to Genameel!

— Dokądże dążysz?

— Idę, aby iść; myślę, aby nie mówić; patrzę, aby nie widzieć... pogan. A ty dokąd śpieszysz?

— Do Habakuka.

— Do Habakuka?

— U niego będzie dziś kilku naszych. Wieczór przyjemny, pogawędzimy o naszych sprawach.

— O jakich sprawach?

— O kupieckich.

— Aha!—zawołał Mardochai niechętnie.

Szli przez jakiś czas w milczeniu, wreszcie Mardochai zapytał:

— Jakżeż tam Sara?

— Już zupełnie zdrowa. Dzielna z niej będzie pracownica.

— Zkąd ja ci, mój Ganameelu, oddam te pieniądze, któreś mi dał, aby ją uwolnić?

— Nie chcę zwrotu pieniędzy; zatrzymam sobie Sarę.

— To znów ja tak nie chcę — zawołał Mardochai.—Pieniądze ci oddam, tylko później, bo teraz nie mam; aleć przecie tak zawsze być nie może, czegoś się kiedyś chyba dorobię.

Znowu przez czas jakiś szli milcząc. Ulice były coraz węższe, coraz mniej było przechodniów i pojazdów.

— Pójdę z tobą do Habakuka — rzekł Mardochai.

Wkrótce znajdowali się na dachu domu Habaku-

kowego, gdzie było dosyć liczne towarzystwo samych Hebreów.

Przyjęto Mardochai z radością i szacunkiem, ułożono w najwygodniejszem miejscu przy stole i zaraz zwrócono się z licznemi zapytaniami.

— Źle nam, bracia moi, *anaszim nemolim*—rzekł smutnie — każdy nas prześladuje, każdy poniewiera, każdy poniża. Ci urzędnicy perscy patrzą na nas, jak na bydło gorszego gatunku, łupią nas, kradną i uważają to sobie nawet za obowiązek.

— Ba!—przerwał mu Habakuk — czegoż chcesz od nich? żeby nas miłowali? Nie na to trzymają nas w niewoli, ażeby nas pieścić, ale żeby nas wyzyskiwać.

Mardochai spojrzał nań uważnie, jakby go pierwszy raz w życiu widział, i rzekł:

— Muszę ci powiedzieć, mój Habakuku, że jesteś osioł.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, a Habakuk zawstydzony zapytał:

— Powiedz mi, Mardochai, dlaczego ja jestem osioł?

— Słuchajcie mnie wszyscy — zawołał Mardochai. — Habakuk jest osioł i to bardzo wielki. Przecież on dziś podarował podłemu poganinowi całych dwieście pięćdziesiąt darejków. Powiedzcie sami, czy to nie osioł.

— Jak ty możesz mówić, Mardochai, żem ja podarował, kiedym ja nie podarował.

— A więc kto podarował?

— Zkąd ja mogę wiedzieć, kto podarował? Może Ganameel, może Arbaces, może Elind...

— Zamknij lepiej usta, Habakuku, i niech twój język takich rzeczy nie wygaduje — przerwał mu Ar-

baces.—Żaden z nas nie jest taki głupi, ażeby poganinowi dawał dwieście pięćdziesiąt darejków.

— Nakłońcie uszy wasze ku mnie i wysłuchajcie słów moich—rzekł Mardochai. — Habakukowi był winien poganin pięćset darejków, a on odebrał od niego tylko połowę, a resztę mu podarował. Powiedz jeszcze, żeś nie podarował.

— Jakie tu darowanie—zawołał Habakuk—kiedy sąd tak kazał.

— Jesteś więc osioł, mój Habakuku, bo trzeba się było odwoływać do króla, jak cię uczyłem, a byłbyś otrzymał wszystko.

— A czemużeś nie powiedział mi tego w sądzie, byłbym na zgodę nie przystał.

— Nie mogłem, boby mnie zato usunęli z kancelaryi, a ja przecie mogę w niej dużo dla swoich zrobić, jak to sam dobrze wiesz. A już ci i tak dużo powiedziałem! Haman zzieleniał ze złości i będzie mi to pamiętał; ale ty jesteś właśnie wielki osioł, żeś nie poszedł za moją namową, lecz tak łatwo ustąpiłeś poganinowi i straciłeś tyle pieniędzy. A czyż to nie lepiej było rozdać między ubogich rodaków? Ileż to między nami ubóstwa, nędzy strasznej? Ile to potrzeba pieniędzy, żeby ulżyć choć w części tej niedoli, jaka nas gniecie? Poganie nam wszystko zabrali. Zabrali nam ojczyznę, wolność, majątki... wszystko, wszystko, co tylko zabrać mogli, więc, o ile można, nie dawać im nic dobrowolnie, bronić się do upadłego, bo im więcej będziemy ulegli, tem oni więcej od nas żądać będą. Poganin nie jest nigdy nasycony, a tem łatwiej bierze, im się łatwiej da.

— Prawdę rzekłeś, Mardochai — zawołał Natanael — nie trzeba się poddawać poganom bez oporu, bo nas zupełnie zgnębią. Trzeba się bronić, gdzie i jak można i o ile można.

— Trzeba się tak urządzić — mówił dalej Mardochai—żeby poganina, który wyrządzi któremu z naszych krzywdę, surowo ukarać.

— Ba, ale czy to można?—zapytał Aza.

— A czemuż nie można? Mojżesz, gdy spostrzegł Egipcyanina, znęcającego się nad Żydem, to się długo nie namyślał, ale zabił go, jak na to zasługiwał...

— Ale też musiał uciekać...

— Tak, ale niejeden okrutnik powstrzymał się od bezprawia, bo słusznie mógł się obawiać, że i jego podobny los spotkać może. Lecz tu o co innego idzie, bo nas tu tak nie męczą ostatecznie, jak ongi w Egipcie. Nam o to chodzić powinno, ażebyśmy stworzyli z siebie wielką siłę, ażebyśmy poganom zbytnio nie ulegali, ich się bardzo nie lękali i nie uniżali się przed nimi. A dlatego potrzeba, żebyśmy trzymali się kupy, żebyśmy mieli swój własny rząd, swoich sędziów, swoje prawa, swoich szpiegów, no i swój skarb narodowy.

— Łatwo to tak mówić—przerwał Ganameel.

— Prawdę rzekłeś—ciągnął Mardochai—mówić nie trudno, daleko łatwiej nawet, niż robić. Ale nie kocha ojczyzny i wiary ojców ten, ktoby nie chciał pracować nad podtrzymaniem i pomnożeniem sił narodu, ażeby ten naród, gdy mu zabłyśnie gwiazda wolności, był gotów posiąść swoje dziedzictwo dane mu od Boga, a które utracił przez swoje własne winy.

— Cóż więc trzeba robić?

— Najpierw należy nałożyć na siebie dobrowolny podatek. Niech żaden Izraelita od tego się nie wymawia, niech wszyscy płacą — każdy wedle możności...

VIII.

Gorzkie dni płynęły Aminadabowi w niewoli u zbójców. Bat budził go wraz z innymi jeńcami rano, bat wypędzał w pole do pracy, bat ustawiał w szereg, bat wydawał rozkazy.

Dnie szły za dniami smutne, jednakowe, beznadziejne. Nie widział Aszera i Hadassath, a zapytać o nich nie miał kogo, bo nawet rozmawiać nie mógł. Dozorcy bowiem nigdy nie przemawiali do robotników i robotnicy nie rozmawiali między sobą. Bat umiał jakoś wszystkich porozumiewać.

Rano, gdy koguty piać zaczynały, zjawiali się w szopie dozorcy, rozkuwali jeńców i wyganiali na robotę, która trwała bez przerwy do południa. Na obiad dawano trochę prażonego jęczmienia i nieco owoców. Po dwóch godzinach odpoczynku znów praca do wieczora. Przed zachodem słońca wracano do szopy i każdego przykuwano zaraz do słupa.

Towarzysze pracy i niedoli byli tak ogłupiali, tak obojętni, jakby zamarło w nich wszelkie uczucie. Zdawało się, patrząc na nich, że wszystko im jedno, czy ich biją, czy jeść dają, czy idą na spoczynek, czy do pracy. Żaden się nie uśmiechnął, nie zadziwił; byli obojętni, niemi, jakby byli z kamienia lub z drzewa. Nikt nie wiedział, co się tam w ich głowach i sercach działo.

Aminadaba ogarniała wściekła rozpacz, bo widział, że go już nic z tego piekła nie uratuje. Uparcie przemyśliwał o ucieczce, ale sam nigdyby się na to nie odważył. Obliczył, że niewolników było sporo, że podczas pracy, zwłaszcza przy ścinaniu drzew, łatwoby można pomordować dozorców, ukryć się w gęstym lesie i obmyślić ucieczkę.

Ale jakże tu się porozumieć, kiedy wszyscy milczą, jak woły.

Postanowił jednak zaczepić Ituni. Często wypadło tak, że na noc obok siebie stali na łańcuchach, można więc było pocichu się rozmówić... Kto wie, może Bóg dopomoże dobrej sprawie, może się zbójców wytłucze i uleci na wolność.

A gdyby się nie udało, to i tak żadna strata. Zamordowaliby ich — wielka rzecz. Lepiej przecie umrzeć, choćby w największych mękach, niż żyć marnie, jak pies. Ba, gorzej niż pies, niż wszelkie zwierzę.

Jakże zazdrościł krukom, które na drzewach krakały swobodnie, a którym nikt nie zabraniał latać, gdzie im się podoba, i krakać, ile im się podoba. Przychodziło mu też nieraz do głowy, że na świecie lepiej jest takiemu krukowi i takiemu zbójcy, niż człowiekowi uczciwemu.

A coby on zrobił, gdyby Panu Bogu podobało się zamienić go w kruka?... Najpierw wykłułby oczy temu przeklętemu Umkadiniemu, a potem przyglądałby się z rozkoszą jego ślepocie. A potem? Ach, potem poleciałby do świętej Jerozolimy, usiadłby na najwyższej baszcie i patrzyłby na te wzgórza ojczyste — hen aż do Jordanu i za Jordan. A po drodze zajrzałby do chaty poczciwego Pulli Achidina. Co on tam biedny robi? Co robi ta Sarwia, Mukinia i wszyscy pasterze?

Lecz myśli podobne odpędzał prędko, bo go do płaczu skłaniały, i wracał do spisku. Czekał tylko, aż znów wypadnie mu w nocy miejsce blizko Ituni. Zaraz mu wyjawi swoje plany; namówi, aby na nie przystał; a później zmowa się rozszerzy. Ituni ma dużo znajomych; powie, do kogo się później zwrócić i sam innych namawiać będzie. Byle tylko zacząć.

Ale zamysły te nie przyszły do skutku, bo oto pewnego dnia nie popędzono go z innymi na robotę, lecz zawezwano go do Umbakidiniego.

Poszedł z ogromnym strachem.

W izbie było kilku starszych zbójów. Herszt, Umbakidini, siedział, a raczej leżał na miękkiem łożu. Długa, szpakowata broda spadała mu na piersi. Uśmiechał się nieznacznie, patrząc badawczo w twarz Aminadaba, któremu łydki nielada drżały.

— Słuchaj, urwisie—odezwał się Umbakidini—chciałbyś wisieć na krzyżu?

Aminadab milczał, ale łydki jego zaczęły szalenie niepokoić się na tę niespodziewaną wiadomość.

— Gadaj! chcesz, czy nie?

— Nie chcę—odpowiedział.

— Wolałbyś, ażeby cię upiec żywcem na wolnym ogniu?

— Nie—wybełkotał.

— Więc najlepiej głowę ci ugnieść?

Drżenie łydek zaczęło się udzielać innym członkom i Aminadab niebawem zauważył, że mu zęby szczękają. Zauważył to widocznie i Umbakidini, bo zachichotał dziko i rzekł.

— A może chciałbyś zostać wolnym?

Aminadaba opanował strach, podniósł głowę do góry i rzekł trochę nieśmiało:

— Któżby nie chciał wolności? ptak tęskni do wolności, a jabym jej nie chciał?

— A jak cię nie wypuszczę?

— Będę niewolnikiem.

— A jak cię każę powiesić?

— Ha, tylu już przedemną powieszono.

— Słuchaj mnie—rzekł Umbakidini — podobasz mi się: jesteś śmiały, odważny, posłuszny. Takich lubię. Nie będziesz odtąd niewolnikiem, ale żołnierzem; nie będziesz odtąd chodził na robotę, ale będziesz się

ćwiczył z żołnierzami, żebyś był zdolny do wypraw. Zrozumiałeś mnie?

— Słowa twoje są jasne jak słońce, a słodkie jak miód. Alem ja nie bardzo odważny, bom drżał haniebnie, gdym stanął przed obliczem twojem, a i nie bardzo posłuszny, bom tysiąc razy przeklinał ciebie i całą niewolę, tylkom gniew zachowywał w sercu.

Zbójcy zaczęli się śmiać serdecznie; podobała im się ta szczera otwartość chłopaka, a Umbakidini rzekł:

— Mnie się bałeś, to nic dziwnego, przeklinałeś, aleś robił wszystko wiernie i ochoczo, a to dobrze. Idź teraz i używaj swobody, zanim rozpoczniesz naukę żołnierską.

Aminadab zaczął błąkać się po podwórzu i rozmyślać nad swojem nowem położeniem.

Został więc zbójem.

Będzie napadał na kupców, może nawet na swych rodaków. Będzie znęcał się nad nieszczęśliwymi, będzie ich zabierał do niewoli, będzie im zakładał widły na szyje.

Tego się nigdy nie spodziewał.

Myśl jego zaczęła pracować nad wydostaniem się z tego położenia. Rzemiosło zbójeckie nie uśmiechało mu się wcale; wolał być zwykłym niewolnikiem.

Zbóje okazywali mu wielką życzliwość; pragnęli go zjednać; widocznie wiele na nim budowali. Bratał się z nimi, był wesoły, śpiewał im, żałował głośno, że niema kinnoru, ale swoje myślał.

Po kilku dniach znów zawezwano go do Umbakidiniego. Tu zobaczył Aszera i Hadassath, przebraną jak wpierw za chłopca. Ucieszył się niezmiernie i miał wielką ochotę rzucić się im na szyje i płakać, ale powstrzymał go Umbakidini, który rzekł:

— Nie chcę trzymać w niewoli twego ojca

i brata; umówiłem się o dziesięć tysięcy talentów [1]) okupu. Gdy go otrzymam, wypuszczę ich i ciebie, jeżeli nie będziesz chciał zostać u mnie na zawsze.

—. Nie będę więc twoim żołnierzem? — zapytał Aminadab.

— Pojedziesz po okup z moimi ludźmi, a gdy wrócisz i zechcesz zostać, to zostaniesz, a jak nie, pójdziesz, gdzie ci się podoba.

Skinął na Aszera, który przystąpił i złamanym głosem zaczął mówić:

— Aminadabie, synu mój. Pójdziesz do miasta Suzy; tam wypytasz o kupca Arbacesa. Wskażą ci dom duży w okolicy pałacu królewskiego. Wnijdziesz tam i powiesz Arbacesowi: Aszer, kupiec, twój wspólnik, prosi, abyś mu oddał dziesięć złotych talentów, bo potrzebuje okupu za wolność. Oto masz moją pieczęć, którą pokażesz mu, aby ci uwierzył.

— Trudno mi będzie znaleźć tego Arbacesa w nieznanem mi mieście, bo mogą uznać mnie za człowieka szkodliwego i wrzucić do ciemnicy.

— Przy bramie pałacu królewskiego jest namiot czerwony, w którym Assyryjczyk Iddina sprzedaje wino; wejdziesz tam i zapytasz o Arbacesa. On ci wskaże.

— Nie wiem, gdzie jest to miasto Suza?

— Sam nie pójdziesz — zawołał niecierpliwie Umbakidini; będziesz miał przewodników, którzy cię zaprowadzą. Ale zapamiętaj to sobie dobrze, że gdybyś nie wrócił z okupem, ojciec twój zostanie powieszony, a brat rzucony na pożarcie dzikim zwierzętom.

Aminadab nic nie odpowiedział. Z płaczem rzucił się w objęcia Aszera, ucałował serdecznie Hadassath i wyszedł.

---

[1]) Około 15,000 rubli.

Nie podobała mu się cała ta sprawa. Słusznie myślał, że zbójcy mają dosyć już okupu za Aszera; zabrali mu przecie cały majątek. A z drugiej strony, któż zapewni, że gdy przyniesie okup, to otrzyma wolność wraz z Aszerem i talitą? Zbój zawsze zbójem. Raz zrabował, może i drugi raz to samo zrobić.

Uwagi te jednak schował dla siebie, bo i z kimże miał się niemi dzielić...

Oddział z piętnastu ludzi złożony wyruszył w kierunku północnego wschodu. Pomimo ciemnej nocy i gęstego lasu, posuwano się raźno naprzód. Każdy coś dźwigał na barkach; prowadzono też kilka osłów, mocno obładowanych.

O świcie ukazał się górski potok, który niebawem zamienił się na sporą rzeczkę. Posuwano się jej brzegiem, płosząc małe zwierzątka i ptaki.

Gdy słońce weszło, wyciągnięto ukryte w gąszczu łodzie i po krótkiej chwili spoczynku, popłynięto.

Rzeka wkrótce wtoczyła ich do wielkiej, szerokiej rzeki, którą, jak się później dowiedział Aminadab, nazywano Diglat [1]).

Podróż odbywała się prędko i przyjemnie.

Zbóje uważali Aminadaba jako swego towarzysza, ale ta równość i przyjaźń z nimi wcale go nie uszczęśliwiały.

Rozmyślał, jakby się im wykręcić i uratować Hadassath i Aszera.

Krajobrazy nadbrzeżne zmieniały się szybko, ale nie zajmowały go.

Niepokoiła go bardzo pogróżka Umbakidiniego, że zabije Aszera i talitę, jeżeli nie otrzyma okupu. Jechał on wprawdzie po okup, ale czy go otrzyma?

---

[1]) Tygrys.

A jeżeli otrzyma, to czy dowiezie do Umbakidiniego? Mogą mu zabrać pieniądze ci mili towarzysze podróży, którzy tak chodzą około niego, jakby był co najmniej synem Umbakidiniego, a jego samego mogą zanurzyć w głębinach tej rzeki, lub sprzedać do niewoli.

Postanowił więc nie wracać z okupem.

Ale co zrobi?

Suza, miasto nieznajome. Mieszkają tam wprawdzie Izraelici, jak to opowiadał Aszer, ale co oni mogą zrobić? Choćby opowiedział o okrucieństwach zbójeckich, to czy urzędnicy, którzy, jak mówił Aszer, sami często obdzierają kupców, zechcą urządzić wyprawę przeciw tej bandzie? A zresztą choćby zrobili, to czy umiałby wskazać jej kryjówkę? A coby się wtedy zrobiło z Aszerem i Hadassath? Byliby zamordowani...

Na tę myśl włosy mu stanęły na głowie... Hadassath, jego ukochana talita, rzucona na pożarcie dzikim zwierzętom... Przeszły go dreszcze i prędko tę myśl odpędził.

Słońce ułożyło się do snu, a niebo skrzyło milionami gwiazd. Wszyscy na głównej łodzi spali, tylko Aminadab z jednym z młodszych opryszków siedzieli na tyle i długiemi wiosłami utrzymywali ster.

Obaj milczeli.

Z nadbrzeżnych lasów dochodziły różne głosy nocnego ptactwa i pomruk dzikiego zwierza. Rzeka płynęła tu spokojniej, a lśniła wśród drzew, jak dach świątyni jerozolimskiej.

Wreszcie Aminadab półgłosem zapytał:

— Czemu to Umbakidini wysłał mnie po okup?

Zbójca spojrzał na niego badawczo i rzekł:

— A kogoż miał wysłać?

— Małoż to ma ludzi swoich?

— Swoich po okup się nie wysyła.

— Czemu?

— Czy chciałbyś, ażebyśmy sami szli po okup; przecież mogliby nas pojmać i powiesić.

— To też nie trzeba się dać poznać...

— Powiedziałeś bardzo niemądre słowo— rzekł, śmiejąc się, zbój — jakże żądać okupu, skoro nie powie się nic o sobie? Albo to ludzie tak chętnie dają pieniądze, że tylko zażądać, a już ci nasypią, ile chcesz? Poszedłbym naprzykład ja do Arbacesa i powiedziałbym mu: daj okup za Aszera! On zacząłby zaraz pytać, kto jestem, zkąd wiem o Aszerze, zkąd wiem, że go nie zamordowano, że żądają okupu i że go żywcem wypuszczą? I cóżbym ja na to odpowiedział?...

— Czyż Umbakidini może być pewien, że mu okup przywiozę?

— Jeżeli ty nie przywieziesz, to żaden z naszych tembardziejby nie przywiózł.

— A to dlaczego?

— Tobie przecie ten Arbaces najprędzej uwierzy, skoro mu powiesz, że twój ojciec i brat w niewoli. Ciebie nie będzie wypytywał, bo cię zna i wie, kto jesteś. Jeżeliby więc tobie nie dał okupu, to tembardziej nie da nieznajomemu.

— Ja przecież mogę nie wrócić, gdy dostanę się do Suzy.

— Tego się nie obawiamy.

— Dlaczego?

— Bo chyba więcej cenisz życię ojca i brata, niż dziesięć złotych talentów.

— Czyż Umbakidini naprawdę mściłby się na nich, gdybym okupu nie przywiół?

— Mściłby się strasznie.

— Przecież oni niewinni, za cóż ich zabijać?

— I wół i baran niewinni, a jednak zabijasz je, żeby nasycić głód.

Aminadab zamilkł.

Przedtem nie zastanawiał się, gdy zabijał barana, że ten nic mu nie zawinił. Zabijał ze spokojnem sumieniem, bo uważał, że baran jest na to, żeby go ludzie zjedli. A że nie można jeść barana żywego, więc zabijał go bez żadnego skrupułu i nie przerażał się jego żałosnym bekiem. Ale żeby Aszer i Hadassath mieli w oczach zbójeckich wartość barana lub innego zwierzęcia, które można zabić spokojnie tylko dlatego, że ktoś im okupu nie przyniósł, to przechodziło jego pojęcie...

Gdy myślał o tem, zimno mu się robiło. Czuł teraz, że musi wrócić z okupem, że musi być pokorny i posłuszny, choć wewnątrz krew burzyła się przeciw temu. Paliła go niepohamowana żądza zemsty; gotów był cały świat podburzyć przeciw zbójom, a żądza ta była tem gwałtowniejsza, im bardziej czuł, że musi być pokornym.

A miał się mścić za co. Kark bolał go jeszcze od przeklętych wideł, a rany od bata na grzbiecie przypominały dobrodziejstwa, jakich od zbójców doznał.

Nagle uczuł szaloną chęć uderzyć wiosłem przez łeb swojego towarzysza, zrzucić go do wody i pomordować wszystkich zbójów, którzy spali spokojnie pod namiotem.

Ale cóżby mu z tego przyszło? Zostałby sam na środku rzeki, pomiędzy lasami i nie wiedziałby, dokąd się obrócić, Zginąłby najpewniej z głodu albo od dzikich zwierząt, lub złych ludzi, a Hadassath stałaby się pokarmem wilków zgłodniałych...

Ciemno mu się zrobiło w oczach.

— Nie — myślał — lepiej się dostać do Suzy i rozmówić się z Arbacesem. Okup trzeba przynieść.

Trzeba się tylko upewnić, że zbójca nie zdradzi.

Milczał już więc przez całą drogę i udawał wesołego. A podróż szła szczęśliwie. Zbójcy widocznie znali okolicę, bo wiedzieli, gdzie się ukryć, gdzie przenocować, gdzie wstąpić do osady nadbrzeżnej, gdzie płynąć śmiało, gdzie ostrożnie.

Nareszcie ukazały się baszty Suzy. Aminadab z trzema zbójami poszedł do wsi Tulliz. Tu wstąpili do jakiejś nory, w której zbóje mieli znajomych; zjedli śniadanie, pokrzepili się winem i Aminadab z jednym tylko towarzyszem puścił się szeroką drogą do miasta.

Długo błądzili po krętych ulicach. Aminadab ozierał się z ciekawością. Zadziwiały go wspaniałe pałace, świątynie, bramy i najróżnorodniejsi ludzie, którzy snuli się po ulicach.

Ale towarzysz przechodził obojętnie i szybko, snadź świadom dobrze tych osobliwości.

Około południa zbliżyli się do pałacu królewskiego. Zbójca się zatrzymał i rzekł:

— Tu jest dom Arbacesa — dowiaduj się o niego. Do wieczora musisz się załatwić, gdyż nie możemy się tu długo zatrzymywać.

— A gdzież się z tobą zobaczę? — zapytał Aminadab.

— Zjawię się wtedy, gdy będę potrzebny... A pamiętaj, że nietylko moje oczy pilnować cię będą. O zdradzie więc nie myśl.

— Jakże mogę myśleć o zdradzie, kiedy ojciec mój i brat w rękach waszych?

Zbójca odszedł, a Aminadab nie wiedział, co dalej czynić. Snuły się obok niego tłumy różnobarwne, mówiące różnemi językami. Chciał już zaczepić kogo o dom Arbacesa, gdy nagle ujrzał przy ogromnych schodach czerwony namiot. Jedni tam wcho-

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

dzili, inni wychodzili, a wielu siedziało przy nizkich stołach i piło wino...

— Aha! — pomyślał — to tu handluje winem ten Asyryjczyk Idina, o którym mówił Aszer. Trzeba pójść do niego.

Wszedł do namiotu, usiadł przy jednym stoliku i zażądał wina. Podano mu dzbanek i niewielką czarkę.

Zaczął pić i przysłuchiwał się rozmowie. Nic jednak nie rozumiał.

Nie była to bowiem mowa syro-chaldejska, którą mówili pasterze, ani asyryjska, którą mówili zbójcy.

W kącie namiotu między niewielkiemi beczułkami, a raczej worami skórzanemi, siedział człowiek z czarnemi włosami i czarną brodą i wydawał rozkazy niewolnikom, którzy się uwijali między gośćmi.

— To pewnie sam Idina — pomyślał Aminadab, chciał też podejść do niego i zapytać się o Arbacesa; ale weszli dwaj nowi goście, zbliżyli się do skórzanych worków i jeden zawołał po asyryjsku:

— Całuję ziemię przed tobą, Idino!

Idina złożył im ukłon aż do ziemi i rzekł:

— Upadam na twarz przed waszemi dostojnościami, niech was Merodach, bóg potężny, ma w swej opiece, a bóg Szamasz niech chroni od wszelkiego złego. Hej, Umbakadara! Ich dostojnościom dzbanek z Cylicyi!

Podano im amforę; zaczęli pić.

Aminadabowi serce biło tak gwałtownie, że przyciskał je oburącz z całej siły. Poznał bowiem swojego krewnego i przyjaciela Mardochai.

Zmienił on się bardzo, zmienił nieco ubiór, ale można go było poznać od pierwszego wejrzenia. Aminadab wstał, chwiejnym krokiem zbliżył się do świeżoprzybyłych i zapytał po hebrajsku:

— Gdzie jest dom kupca Arbacesa?

Obejrzeli się.

— Aminadab! — krzyknął Mardochai i rozłożył ramiona.

Chłopiec z płaczem rzucił mu się w objęcia.

— Zkąd się wziąłeś, beni?

— Długo o tem mówić.

— Chodź do mego mieszkania.

Wstał i znów zaczął całować Aminadaba. Potem wziął go za rękę i skierował się ku wyjściu. Ale Zammamanaddin przytrzymał go i zawołał:

— Hola! cóż to za młodzieniec?

— To mój krewny, Aminadab.

— Twój krewny? Zkąd się tu zjawił?

— Zginął i znalazł się...

— Zginął? i nic mi o tem nie mówiłeś, Marduka? Ach, jaki piękny chłopiec! znalazł się, jak to dobrze. I ty odchodzisz, Marduka? Znalazł ci się krewny i nie napijemy się? Tak nie można. Hej ty, Umbakadara, dawaj tu gwiazdę Horusa!... [1]).

— Ależ on chce jeść — przerwał niecierpliwie Mardochai — przytem ma mi dużo do opowiadania.

— Tak, prawdę rzekłeś, abbi — dodał Aminadab — jeść mi się chce i mam bardzo ważne sprawy do załatwienia z tobą. Nie przyjechałem tu wypadkiem, ale jestem wysłannikiem do Arbacesa, z którym muszę się natychmiast widzieć.

— Aj, aj! — krzyknął Zammamanaddin — mówi nawet mową Assura. Wybornie, idźcie naprzód, ja tam zaraz przyniosę wino.

Mardochai nie mógł się nacieszyć. A co za radość, gdy się dowiedział o swej synowicy, Hadassath, że jest zdrowa, choć w rękach zbójeckich.

---

[1]) Gwiazda Horusa, jedno z lepszych win egipskich.

— Trzeba dać znać Arbacesowi — wołał, biegając po izbie — co rychlej zawieźć okup.

— Tak myślisz, abbi?

— A jakżeż myśleć inaczej?

— Nie zawozić okupu zbójom, ale obmyśleć na nich zemstę. Męczyli oni nas bardzo.

— Przecież mówisz, iż zbóje zagrozili, że zamęczą Hadassath i Aszera, jeżeli okupu im nie przywieziesz?

— Trzeba im więc z okupem zawieźć śmierć, a odebrawszy im Hadassath i Aszera, samych porazić paszczęką miecza.

— Jakżeż to zrobić?

— Ty lepiej wiesz, abbi, bo znasz tutejsze prawa.

Mardochai się zamyślił; potem rzekł:

— Powiem marszałkowi.

— Zrób, jak chcesz—odpowiedział Aminadab — byle w tajemnicy, bo zbójca obiecał mnie śledzić. Nie daj Boże, ażeby się dowiedzieli o czemkolwiek! Uciekliby i zabiliby Aszera i talitę.

Mardochai udał się do marszałka, a Aminadab został z Zammamanaddinem, który był nim zachwycony. Upił się też na jego cześć tak, że gdy Mardochai powrócił, nie wiedział o Bożym świecie i chrapał na macie.

Zostawili go i poszli do Arbacesa.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy Aminadab wychodził z miasta. Przed bramą przyłączył się do niego zbójca. Szli w milczeniu; dopiero, gdy byli na drodze za miastem, zbójca zapytał:

— Masz pieniądze?

— Mam.

— Co to mówiłeś z pisarzami królewskimi?

— Gdzie?

— W namiocie, i chodziłeś z nimi do pałacu królewskiego.

Aminadab zląkł się, ale nie okazał tego i, udając spokój, rzekł:

— Jeden z nich, to mój ziomek, zna Arbacesa, dał mi jeść i poszedł ze mną po okup.

— Oho! — mruknął zbój — a może powiedziałeś, że my tu się ukrywamy?

Patrzył na Aminadaba badawczo, ale ten najspokojniej odrzekł:

— Powiedziałem, że Aszer jest w wielkiem niebezpieczeństwie, bo jak nie przywiozę okupu, zostanie powieszony.

Szli dalej w milczeniu.

We wsi odpoczęli w norze, w której były przygotowane wory i skrzynie, widocznie jakieś zapasy dla bandy. Gdy się ściemniło, obładowano kilka osłów i puszczono się ku rzece.

Ale zaledwie zrobiono kilkaset kroków, gdy wypadli z ukrycia żołnierze i wszystkich przytrzymali. Okazało się, że cała wieś była otoczona wojskiem i że zbóje wyszli trzema partyami, każda z obładowanymi osłami. I dobrze się stało, że wieś dokoła osaczono, bo nikt się nie wymknął.

Bez hałasu rozbrojono zbójów, rozebrano do naga i odstawiono do miasta. Żołnierze zaś przebrani w ich szaty poszli z Aminadabem i jego towarzyszem, który musiał wskazywać drogę.

Nad ranem stanęli nad brzegiem rzeki, gdzie czekali ukryci zbójcy w liczbie dziesięciu.

Żołnierze rzucili się na nich; czterech przebili nożami, inni się poddali. Odarto ich z szat i odesłano do miasta.

Ztąd utworzyła się niby karawana kupców. Posu-

wano się brzegiem rzeki, holując w górę łodzie, w których zamiast towarów byli ukryci żołnierze.

Dwóch zbójów służyło za przewodników. A prowadzili wybornie, bo mieli nadzieję, że otrzymają za to przebaczenie, gdy tymczasem ich towarzysze w strasznych męczarniach życie zakończą.

Mardochai należał do wyprawy.

Noc była ciemna, gdy otoczono palisadę. Wicher miotał wierzchołkami drzew i łamał gałęzie, które padały na głowy żołnierzy. Przewodnik zapłakał jak szakal, a potem zaszczekał trzy razy, jak pies. Ze środka odpowiedziały mu te same głosy i opadła drabina.

Najpierw wdrapał się Aminadab, potem żołnierze, jeden za drugim. W mgnieniu oka uderzono na straż i skrępowano.

Żołnierzy tymczasem przybywało coraz więcej.

Zaczęło już świtać, gdy zbóje spostrzegli, że są zdradzeni. Powstał między nimi straszny popłoch. Umbakidini biegał jak lew rozjuszony, z rozwianą brodą; próbował sformować szyki; walił ogromną maczugą na prawo i na lewo; żołnierze padali pod jego uderzeniami, jak kłosy pszenicy, ale odwaga była słabą wobec przemagającej liczby żołnierzy.

Z częścią swych ludzi rzucił się do lasu; ściana palisady w jednem miejscu runęła z łoskotem na ziemię; przez ten wyłom wybiegł, wołając na swoich. W drugiej stronie część zbójów, przyparta do palisady, broniła się zawzięcie.

W twierdzy tymczasem wrzało jak w ulu: strzały latały, furcząc złowrogo, kopie i miecze brzęczały, krzyk, wrzawa, a koguty piały, patrząc ze zdumieniem na walkę ludzi.

Tu kilku zbójców próbuje jeszcze opierać się

żołnierzom; tam jeden raniony, podniósł rękę i błaga o litość; owdzie żołnierz jednem uderzeniem maczugi obala klęczącego przed nim rozbójnika; inni ucinają zabitym głowy i niosą, jako trofea.

Ranni, którzy mogli, uciekają śpiesznie; ci zaś, którzy uciekać nie mogą, kryją się instynktownie pod pierwszy lepszy kamień, krzak lub kłodę drzewa. Ale żaden z nich nie uszedł śmierci.

Tymczasem zaczęły się zlatywać gromady kruków; obsiadły wszystkie pale; pełno ich na dachach, a niektóre tak śmiałe, że zaczęły już dziobać trupy. Widocznie zbóje nieraz wyrzucali im nieszczęsnych jeńców na pożarcie, kiedy przyleciały w takiej ilości na ucztę.

Umbakidini z garstką swoich uszedł do lasu. Puścili się za nim żołnierze. Aminadab stanął na ich czele. Umbakidini widząc, że wszystko przepadło, odwrócił się i prosił o rozmowę. Bitwa na chwilę ustała. Wysłał swego pomocnika, aby wyzwał Aminadaba na pojedynek. Aminadab z chęcią przystał, ale Mardochai się sprzeciwił.

— Ty jesteś rozbójnik, nie żołnierz—zawołał— nie masz prawa bić się w pojedynku. Będziesz zabity, jako pies.

— On nas zdradził — krzyczał Umbakidini — niech staje z nim, albo ze mną!

— Zbója wolno zdradzić, a nawet potrzeba, zbój gorszy od psa wściekłego.

Umbakidini w odpowiedzi posłał strzałę, która musnęła Aminadaba po ramieniu i zdarła mu skórę, i sam zaczął uciekać. Wkrótce padł jego pomocnik, a żołnierze coraz bardziej nacierali.

Umbakidini rzucił się na oślep w gęstwinę; od czasu do czasu odwracał się i wypuszczał strzałę,

a za każdym razem jeden z żołnierzy padał z jękiem na ziemię.

Ale to nie wstrzymało pogoni. Żołnierze zasypali go gradem strzał, z których jedna utkwiła mu w boku; upadł na kolano, a widząc się zgubionym, dobył puginał, żeby się przebić, ale mu ręka opadła, a żołnierze nadbiegli i przeszkodzili.

Bitwa skończona. Sześćdziesiąt ciał bez głów usłało pole. Żołnierze starannie badają wszystkie zakątki, zagladają do każdego dołu; przetrząsają wszystkie krzaki, jak gdyby tropili zwyczajną zwierzynę. Każdemu rannemu bez miłosierdzia ucinają głowę, którą z tryumfem i radością zanoszą przed Mardochai. Ten zapisuje wszystko, gdyż za każdą uciętą głowę żołnierz otrzymuje pochwałę i część łupu.

Czterdziestu zbójów związanych oczekiwało okrutnej śmierci.

Wypuszczono z więzienia niewolników, między nimi Aszera i Hadassath, i zaczęła się uczta. Aminadab jednak ostrzegł, że może to nie wszyscy rozbójnicy, że może część ich jest na jakiej wyprawie, bo niema między zabitymi i pojmanymi jednego olbrzyma, który go biczem smagał.

— Słusznie mówi — rzekł Aszer — przed paru dniami wyruszył oddział, w którym widziałem tego olbrzyma.

— Trzeba ustawić straże i mieć się na baczności—powiedział Mardochai.

Straże ustawiono.

Nad wieczorem zjawiło się rzeczywiście około czterdziestu zbójów, których jednak, zanim się spostrzegli, łatwo powiązano.

Z tryumfem powrócono do Suzy. Więźniów czekała straszna kara. Na wschodzie bowiem kary na złoczyńców były okrutne. Nie trzymano się zasady,

aby winowajcę usunąć ze społeczeństwa i uczynić go nieszkodliwym, odjąć mu możność dalszych przestępstw i próbować poprawy, a dopiero w najgorszym razie karać śmiercią. Nie, tam każdy złoczyńca karany bywał zawsze śmiercią, ale w sposób barbarzyński. Śmierć zwyczajna od miecza lub maczugi, przez powieszenie lub utopienie, śmierć, która szybko zabija, niemal bez mąk, nie była uważana za prawdziwą karę. Pozbawienie człowieka życia jednym ciosem było łaską, do której wzdychali skazańcy. Ale zbrodniarze nie mieli prawa do takiej względności; powinni wychylić do dna czarę bólu i długo, długo błagać o śmierć przed skonaniem.

Pod murami miasta ustawiono zbójów w szeregi. Kaci poprzekłówali im wargi i nozdrza, przesuwali przez te przekłócia pierścienie ze sznurkami, jak to się czyni wołom, i oddawali każdego okaleczonego żołnierzom. Gdy się ta bolesna czynność skończyła, pomaszerowano po ulicach Suzy wśród szalonej radości mieszkańców, którzy nie szczędzili żartów i urągania.

Naprzód szedł Umbakidini i jego pomocnicy. Na twarzach ich nie znać bojaźni; patrzyli śmiało, pomimo, że przewodnicy w pewnych odstępach czasu pociągali gwałtownie za sznurek, ale zarazem tak umiejętnie, że nie wyrywając ani kawałka ciała, sprawiali im jednak niewypowiedzianie straszny ból.

Krew spływała im z nozdrzy i warg na brody i piersi, a tworząc dwie czarne sople, czyniła ich strasznymi.

Nie wzbudzało to jednak litości; przeciwnie, na ulicach, na dachach, we drzwiach domów, w bramach ogrodów panowała szalona radość, a na głowy nieszczęsnych rozbójników spadały zgniłe owoce, suche gałęzie, grudki ziemi i t. p.

Zbóje patrzyli przed siebie ponuro; od czasu do

czasu, gdy przewodnik pociągał którego za sznurek, wyrywał się z jego ust zgrzyt zębów, syk lub głuche przekleństwo.

Pochód wkroczył nareszcie na podwórze pałacowe.

Tu rozpoczął się sąd i wykonywanie wyroków.

Umbakidiniego i jego pomocników stawiono przed króla, który za pomocą sznurka, przeciągniętego przez nozdrza, podnosił im głowy i wydłubywał oczy ostrzem dziryta. Czynność ta sprawiała mu widoczne zadowolenie.

Oślepionego w ten sposób herszta porwali oprawcy i przykuli do bramy miejskiej, gdzie w klatce pośród świń dzikich wystawiony był na zniewagi przechodniów i żywił się tem, co mu z łaski, jak psu rzucano.

Dwóch jego pomocników wbito na pal, następnie poobrzynano im nosy, uszy, powieki, wargi, ręce i nogi. Dwóch innych obdarto żywcem ze skóry i wywieszono te skóry na głównej bramie miejskiej.

Owego wielkoluda, który znęcał się nad Aminadabem, razem z kilku innymi wsadzono w niecki w ten sposób, że tylko głowa, ręce i nogi były wolne; cały zaś tułów ściśnięty był dwiema nieckami, jak ślimak w skorupie. Była to męka nadzwyczaj okrutna, bo z odchodów, pozostałych między nieckami, wyradzały się robaki, gryzące ciało. Przytem twarz tak wykręcano, iż promienie słońca padały mu w oczy; potem zmuszano nieszczęsnych do jedzenia, a w razie oporu, kłuto rozpalonemi szpilkami w oczy. Natarto im też twarze miodem, aby ściągał owady.

Niektórzy z nich dopiero po tygodniu mąk życie skończyli.

Wszystkich innych zbójców męczono nie mniej okrutnie. Nikt nie okazywał im najmniejszej litości,

najmniejszego współczucia. Przeciwnie, sprawiało to wielką uciechę pospólstwu.

Jednym oderznięto głowy za pomocą brzytwy; innych pogrzebano żywcem; kilku przepiłowano; innych upieczono w żarzącym popiele, resztę wtrącono do lochów, gdzie mieli skończyć śmiercią głodową.

Taką zemstę zgotował zbójom Aminadab pomimo swej woli.

Zapomniał teraz o nich, bo napawał się swojem szczęściem. A miał się z czego cieszyć. Widział się otoczonym życzliwemi twarzami rodaków, odnalazł Mardochai i kilku znajomych z Jerozolimy; wyświadczył Aszerowi ogromną usługę; zasłużył sobie na wdzięczność wszystkich, zwłaszcza Hadassath.

Czuł się więc nad wyraz szczęśliwym.

IX.

Gwarno było w mieście Suzie. Król Achaszwerosz wyprawiał na zamku wspaniałe biesiady, na które zjechali się z całego państwa książęta, satrapowie, i wodzowie wojsk.

Najstarsi mieszkańcy nie pamiętają takiej uczty. Już piąty miesiąc biesiadują w pałacu królewskim dygnitarze wszelkich stopni, a lud prosty również bierze udział w uciesze i ma nadzieję, że niezadługo i przed nim sute stoły zastawią.

Wprawdzie Ekbatana, stolica Medów, zburzona; ale już się buduje na nowo. A piękne to będzie miasto, zwłaszcza pałac dla króla. Wprawdzie Nabuchodonozor tryumfuje w Babilonie; ale niech tam sobie tryumfuje. Medowie się pomszczą, o! pomszczą się straszliwie. A naród to dzielny i wojowniczy; ich strzały

nigdy nie chybiają. Ziemia ich bogata; lud kocha wolność; godzina zemsty przyjdzie... A teraz cieszcie się Parsa i Madai.

Tak myśleli ucztujący i, trącając się czarkami, marzyli o zemście nad Babylem.

Przyczyna gniewu na Babilończyków była taka:

Arfaksad [1]), nie przestając na królestwie medyjskiem, wydał najprzód wojnę Persom i podbił ich pod swoje panowanie. Następnie, złączywszy Medów z Persami w jeden potężny naród, zawojował Azyę, podbijając kolejno każde plemię zosobna. Wreszcie przyszedł do Asyryjczyków, których stolicą była Niniwa—do owych Asyryjczyków, którzy niegdyś panowali nad całą Azyą. Opuścili ich wprawdzie wtenczas sprzymierzeńcy; jednak był to jeszcze naród bardzo potężny. Arfaksad zginął w tej wyprawie w dwudziestym drugim roku swego panowania, ze znaczną częścią swego wojska.

Następca jego zawarł przymierze z Nabopolassarem, królem Babilonu, a hołdownikiem Asyryi, i wspólnie uderzyli na Niniwę, zdobyli ją i położyli koniec monarchii asyryjskiej.

Niedługo jednak trwała przyjaźń z Babilończykami, bo, jak to zwykle bywa, przy podziale łupów powstała kłótnia, z kłótni wojna i Nabuchodonozor, król babiloński, pobił króla medo-perskiego Achaszwerosza [2]). Ale niebawem Medowie wzmogli się na siłach i myśleli o odwecie.

Uczta więc była zarazem wielką naradą wojenną.

Wreszcie otworzyły się bramy pałacu dla wszyst-

---

[1]) Arfaksad jest to nazwa biblijna, najprawdopodobniej był nim Fraortes.

[2]) Najprawdopodobniej był to Astyages.

kich: bogatych i ubogich, wolnych i niewolników, którzy przez siedem dni mogli używać biesiady monarszej.

Różnokolorowe tkaniny, zawieszone na sznurach od jednej ściany do drugiej, dzieliły olbrzymi dziedziniec pałacowy na cały szereg sal biesiadnych. Przy ścianach tkaninowych stały łoża złote i srebrne; podłoga zaś była usłana kamieniami szmaragdowemi i marmurem. Barwy były tak dobrane, że tworzyła się z nich przecudna mozaika przeróżnych obrazów.

Tłumy ludzi wchodziły do tych sal od rana do wieczora. Każdy zasiadał na łożu paradnem lub krześle i kazał podawać sobie, co mu się spodobało.

W każdym przedziale stał stół nizki, długi, uginający się pod ciężarem potraw i napojów. Nadzór nad służbą i całym porządkiem miał z rozkazu króla jeden z wyższych urzędników.

Niewolnicy usługujący spełniali życzenia każdego, przynosząc mu, ile razy i czegokolwiek zażądał. Nie wolno było nikomu i niczego odmówić. Kobiety i dzieci dopuszczone były też do uczty narówni z mężczyznami.

I o żołnierzach, pełniących służbę w koszarach, nie zapomniano; król przysyłał im mięsa i wina w takiej obfitości, że nie zazdrościli innym.

Dziesiątki tysięcy chlebów znikały na tej uczcie, tysiące wołów, baranów, kóz i rozmaitego ptactwa ginęło, jakby wśród płomieni, a jednak to, co zjedzono, było niczem wobec tego, co wypito.

Wina asyryjskie i chaldejskie, wina elamskie, syryjskie i fenickie, wreszcie wina egipskie w amforach i workach skórzanych nie mogły nasycić pragnienia niezliczonego tłumu.

Po upływie dwóch dni wszyscy byli pijani.

Po ulicach Suzy, na placach, podwórzach, ogro-

dach snuły się gromady rozweselone, śpiewając piosnki plugawe i dopuszczające się rozmaitych wybryków na cześć hojnego króla.

Wszędzie też leżeli nieprzytomni, a przy nich skutki obżarstwa i pijaństwa, uprzątane przez gromady psów.

Niewolnicy ustawicznie wynosili takich za obręb pałacu i składali, gdzie się tylko dało. Po kilku godzinach, oddawszy psom zbytek jadła i picia, wracali oni korzystać z uczty, póki mogli.

Nie mniejszą była uczta w pokojach królewskich. Tu dostojnicy państwowi, dowódcy wojsk, rządcy prowincyj zasiedli na podwójnych krzesłach po dwóch z każdej strony stołu. Krzesła były wysokie, bez poręczy i podnóżków, bo zaszczyt ucztowania z królem musiał być okupiony pewną niewygodą.

Niewolnicy stawiali dania przed biesiadnikami na stołach, zasłanych serwetami, obszytemi frendzlą.

W Persyi znakomici panowie jedli niewiele; to też podawano im mało potraw mięsnych, ale zato wiele ciasta, pieczonego z pszenicy, sprowadzanej aż z Egiptu i Assosu [1]). Znikały też szybko: winogrona, daktyle, jabłka, figi, konfitury, sorbety mrożone i tym podobne rzeczy.

Nie słychać tu było szczęku noży i widelców, bo biesiadnicy z wielkim wdziękiem i zręcznością wkładali sobie do ust palcami przy pomocy cienkich kromek chleba mięso i pilaw, pokrajane wprzódy i to tak, że palcem ust nie dotykano.

Zato pili bardzo dużo choć z pewną dystynkcyą dopóki się nie upili.

---

[1]) Na pobrzeżu Misyjskiem.

Na stołach stały kosztowne naczynia, puhary złote i srebrne, lane lub kute w kształcie lwiej głowy. Były to po większej części łupy z Niniwy, dawne naczynia święte, używane do składania ofiar u różnych ludów: w Babilonie, Karkemiszu, Tyrze, Memfisie.

Wszystkie wina, nawet najlepsze, sprowadzane z Chalybonu [1]), mieszano z rozmaitemi wonnościami i drogiemi przyprawami. Jeden z eunuchów stał przed stołem i w kamiennym mozdzierzu tłukł rozmaite substancye upajające, które zwilżał od czasu jakimś płynem; towarzysze zaś jego wylewali wino z amfor do wielkiej wazy srebrnej, której wysokość dochodziła im do piersi. Skoro pachnąca mieszanina była gotowa, rzucali kawałki jej do każdej wazy i starannie mieszali z winem.

Poczem podchodzili podczaszowie z puharami i roznosili wino gościom.

Nie zapomniano o nikim, nawet o wartownikach, stojących przy drzwiach, którzy trzymali w jednej ręce maczugę lub włócznię, drugą zaś trącali się czarkami.

Pili wszyscy, oprócz tych, którym obowiązki służby nakazywały zachowanie przytomności i zimnej krwi, a więc niewolnicy, stojący za gośćmi z wachlarzami, służący, którzy przed jedzeniem i po jedzeniu podawali miednice do umycia rąk, muzykanci i śpiewacy.

Na estradzie stanęło sto pięćdziesiąt śpiewaczek, które razem z mnóstwem muzykantów królewskich wykonywały najpiękniejsze utwory.

Medowie i Persowie lubili bardzo muzykę. Mieli swoje śpiewy narodowe, które wykonywali w święty-

---

[1]) Aleppo.

niach i na dworach królewskich. Instrumenty: *zurna* [1]), *dair*, albo *def* [2]) są najdawniejszemi instrumentami muzycznemi Asyryjczyków, a później Medów i Persów.

Z epoki, kiedy Persowie zostawali jeszcze w stanie pasterskim, a Medya zaludniona była przez lud już cywilizowany, posiadający sztuki i całą wytworność gustu i zbytku, zostały intermedya, fantazye i rozmaite preludya muzyczne, które wzbudzały zajęcie i podziw w słuchaczach.

To też na estradach brzmiały śpiewy umiejętne, wtórowały im przeróżne narzędzia muzyczne perskie, fenickie i indyjskie: *nafiry* [3]), *tala* [4]), cytry, fletnie, harfy, symfonały i inne. Z początku słuchano śpiewu i muzyki, ale gdy wazy srebrne kilkakrotnie już napełniono winem i opróżniono, gdy zaiskrzyły się oczy i rozwiązały języki, muzyka brzmiała jakby w pustej sali—nikt jej nie słuchał.

Artyści więc zaczęli grać i śpiewać fałszywie, wreszcie zupełnie umilkli, a nikt nie zwrócił na to uwagi.

Król Achaszwerosz pierwszego dnia zajął główne miejsce przy uczcie i pił to samo wino, które przygotowywano dla dostojników; następnie udał się do haremu.

Pawilon haremowy, gdzie mieszkała najpierwsza małżonka królewska, królowa Wasti, wychodził na ogród, zasadzony sykomorami i topolami.

Była i tu uczta dla kobiet.

Król rozciągnął się na łożu, zasłanem poduszkami i haftowanemi kapami, w altanie z krzewów winnych. U wezgłowia stał stolik, zastawiony złote-

---

[1]) Rodzaj oboju.
[2]) Rodzaj bębna.
[3]) Rodzaj trąby.
[4]) Flet.

mi naczyniami, a nieco dalej, z lewej strony łoża, siedziała królowa Wasti na wysokiem krześle z poręczami, nogi miała wsparte na pięknym haftowanym podnóżku; podawała ona swemu panu i władcy czarę z winem aromatycznem. Za altaną ukryci muzykanci dworscy i kobiety z haremu, przy towarzyszeniu harf, śpiewali hymny na cześć króla.

Zabawy trwały tak przez sześć dni dla wszystkich. Cała Suza z przedmieściami zamieniła się w jeden ogromny stek pijaków. Życie zwyczajne wstrzymane zostało, bo każdy chciał korzystać z czasu uczty, ażeby później nie było żalu, iż się zmarnowało sposobność.

Ale siódmego dnia była pijatyka, przechodząca wszystko. Był to ostatni dzień uczty, a więc pito od samego rana; wszyscy się prześcigali: dzieci walczyły o lepsze ze starszymi; starcy nie dali się prześcignąć młodym.

Około południa ściągnięto tkaninowe ściany i z podwórza pałacowego zrobiła się jedna ogromna sala, napełniona nawpół przytomnymi ludźmi.

Gdy heroldowie ogłosili, że król wyjdzie do ludu dla zakończenia uczty, rozległy się długie, niemilknące, głośne okrzyki. Zrobiono wysokie wzniesienie, okryte czerwonem suknem i różnobarwnemi dywanami. Na wzniesieniu ustawiono złote krzesło dla króla i kilka taboretów nizkich dla najpierwszych dygnitarzy.

Gdy żar słoneczny złagodniał, zjawił się król, otoczony dworem, w blasku majestatu, a raczej złota i drogich kamieni. Na głowie miał wysoką, potrójną koronę, ozdobioną gęsto sadzonemi dyamentami, perłami, rubinami i szmaragdami. Gdy poruszył głową, powstawała nadzwyczaj piękna gra barw, z załamywania się promieni słonecznych. Kilka czarnych piór czaplich ostro odbijało się od błyszczących bu-

kietow dyamentowych, które lśniły na tym wspaniałym, iście czarodziejskim dyademie, zakończonym pałkami perłowemi, kształtu wielkich gruszek.

Szaty królewskie były ze złotej tkaniny, okryte suto perłami i drogiemi kamieniami.

Suknia z krótkiemi rękawami, wyhaftowana w czerwone różyczki, ujęta szerokim pasem i obszyta u dołu frendzlą, której każdy sznurek zakończony czterema rzędami szklanych perełek, okrywała króla od szyi aż do stóp. Na sukni był kaftan bez rękawów; dochodził on tylko do pasa, a tak był cały zahaftowany, że prawie nie widać było materyi, z której zrobiono go. Na piersiach zwieszał się łańcuch podwójny z pereł, może największych w świecie.

Wszelako wszystko to niczem było w porównaniu z szerokiemi naramiennikami i pasem, które błyszczały w blasku słonecznym, jak prawdziwy ogień. Prawy naramiennik nazywał się *Kohi Nur*—góra światła, lewy zaś *Darjar Nur*—morze światła.

Wspaniały miecz zwisał prawie poziomo, nieco poniżej łokcia, tak, że lewa ręka prawie zawsze spoczywała na głowicy. Rękojeść miecza była krótka, wytoczona z kości słoniowej, w tem zaś miejscu, gdzie się stykała z ostrzem, zdobiły ją cztery złote lwie główki. Pochwa drewniana, nasadzona złotem, ozdobiona u dołu dwoma złotemi lwami, które stoją na tylnych łapach i niby igrają z sobą.

Twarz króla była starannie wybielona i wyróżowana; włosy na głowie i brodzie, namaszczone wonnościami, spadały na ramiona i piersi w kształcie wachlarza.

Szedł król pod wielkim, szkarłatnym parasolem, który niósł za nim parasolnik, po rozpostartych kobiercach lidyjskich, a za nim tłum dworzan; oficerowie i niżsi urzędnicy stali w ścisłych szeregach.

Ubiory dygnitarzy były podobne do ubioru kró-

la, tylko nie tak wspaniałe; nie mieli też na głowach koron, tylko nizkie, okrągłe kapelusze, z nieco wystającym górnym brzegiem.

Rysy twarzy otoczenia królewskiego rozmaite. Jedni mieli włosy kędzierzawe, nos spłaszczony, wargi grube, wywinięte, usta podane naprzód, brody krótkie i kręcone; możnaby ich wziąć za murzynów, gdyby nie biała barwa skóry. To mieszkańcy kraiu nadmorskich. Inni mieli nosy cienkie, wystające; oczy wielkie, twarz podługowatą, wzrost średni — to Asyryjczycy. Wielu było wzrostu wysokiego, wysmukli z nosami prostemi, oczyma niebieskiemi i niektórzy przynajmniej z jasnemi włosami. To górale irańscy, spokrewnieni z tymi Persami i Medami, którzy nazywają siebie Aryami, t. j. walecznymi.

Król wszedł na wzniesienie i zasiadł pod parasolem na wielkim rzeźbionym fotelu. Przed nim uklękli dwaj niewolnicy, jeden z naczyniem olejku różanego i białą chustką, drugi z kadzielnicą, w której paliły się wonności.

Na taboretach zajęli miejsce: Haman, Charszna, Marszna, Sethar Admata, Tharsis i Mares, siedmiu książąt perskich i medyjskich, stanowiących radę królewską.

Dworzanie i słudzy stanęli na stopniach i z tyłu wzniesienia.

Lud na widok monarchy padł na twarz, a gdy mu pozwolono wstać, zaczął wyć na jego cześć. Z niejednych ust pijanych wyrwało się straszne przekleństwo, ale nikt go nie usłyszał wśród tak wielkiego wrzasku.

Patrzono z zachwytem na świetny ubiór króla i jego świty.

Uczta się wzmogła; wino lało się obficie, nie potrzeba było nikogo zachęcać do jedzenia i picia, bo

każdy jadł, choć był najedzony, i pił, chociaż był pijany.

Na wzniesieniu też pito i krzyczano. Król był w świetnym humorze; niebawem stracił powagę majestatu, bo wino i jemu rozwiązało usta. Zdjął tyarę, która mu ciężyła, oparł się o poręcze, mówił głośno, śmiał się i żartował.

Niemniej wesołe było całe jego otoczenie. Książęta, chanowie [1]), gholamowie [2]), lud, niewolnicy zrównali się przy winie. Krzyki zagłuszały muzykę i śpiewy; tancerki zmieszały się z tłumem.

Podziwiano piękność króla i jego szat.

Niebawem zaczęto się cisnąć do wzniesienia i krzyczeć coraz głośniej:

— Witaj, synu Ahurumazdy!

— Witaj, równy bogom!

— O, jakżeś piękny, panie, słońce zbladło przy tobie!

— Witaj, Amszaspandzie [3])!

— Witaj, Jozata!

— Bądź błogosławiony, Jasznu!

— Cześć ci, o Weretragna.

— O, dzięki ci, żeś się pokazał niegodnym oczom naszym.

— Żyj wiecznie z nami, o najpotężniejszy nasz panie!

Przez tłum przecisnęło się kilka starych kobiet; za niemi poskoczyły tancerki.

Zaczęły wołać do króla:

---

[1]) Oficerowie.

[2]) Żołnierze przyboczni.

[3]) Amszaspand, Jozata, Jasznu i Weretragna — geniusze Perscy.

— Widzimy nasze słonko piękne, a gdzie jest księżyc? Gdzie jest gwiazda twoich oczu, o panie?

— Pokażcie nam małżonkę naszego pana! — zawyły tłumy.—Pokażcie gwiazdę jego dworu!

— Pokażcie Anahitę! [1]).

— Pokażcie!

Krzyki się wzmagały.

Lud całą masą zbił się przed wzniesieniem i wył rozszalały, żądając, aby się ukazała królowa.

Żądanie było niesłychane w Persyi, bo tylko proste niewiasty mogły się tam ukazywać publicznie, ale panie wyższych sfer zamykane były w haremach.

A cóż dopiero królowe?

Wszyscy jednak wiedzieli, że królowa Wasti jest przecudnie piękną.

Chanowie więc przybocznej straży czekali z niepokojem, rychło rozgniewany pan rozkaże uderzyć na pijany motłoch i rozpędzić za zuchwalstwo.

Ale król był upojony radością i winem; nie rozgniewał się więc, lecz skinął ręką na stojącego eunucha.

— Maumanie!

— Słucham cię, królu, i panie mój!

— Idź do królowej Wasti i powtórz jej życzenia ludu!

— Słucham cię, królu, i panie mój!

— Lud chce widzieć Anahitę; niech więc ukaże się w stroju Anahity, niech wszyscy podziwiają piękność każdego jej członka, każdą cząsteczkę jej istoty, którą dał jej potężny Ahuramazda.

— Słucham cię, królu i panie mój! — rzekł

---

[1]) Anachita, bogini, miała za cały strój zasłonę przetykaną złotem, dyadem, zausznice, naszyjniki i przepaskę przez środek ciała.

Maumam, a tłumy podniosły taki wrzask piekielny, że aż wzniesienie drżało.

Siedmiu eunuchów: Maumam, Bazatha, Harbona, Bagatha, Abgatha, Zethar i Charchas, udali się do królowej.

Między biesiadnikami radość była nieopisana.

Ale wnet nastąpiło rozczarowanie; ten sam orszak eunuchów powrócił z haremu, ale bez królowej.

Przez chwilę zapanowało głuche milczenie.

Maumam stanął przed królem i czekał aż go zapyta.

— Czemu nie przywiedliście królowej?—zapytał Achaszwerosz.

— Jakżeż mieliśmy przywieźć królowę, kiedy wzgardziła rozkazem twoim, o panie?

Między tłumami, stojącemi bliżej wzniesienia, przebiegł głuchy pomruk niezadowolenia.

Na wybielone lica królewskie wystąpiły rumieńce gniewu.

— Cóż ci powiedziała? — zawołał w uniesieniu.

— Jam jest córka Nebukadnezara, króla Babilonu — rzekła — nie mogę ukazywać się nago ludowi, jako wszetecznica.

— Idź i powiedz królowej—rzekł Achaszwerosz, tłumiąc gniew—że jeśli nie chce się pokazać jako bogini, niech wystąpi jako królowa; niech włoży szaty królewskie i koronę na głowę.

Siedmiu eunuchów skierowało się ku haremowi. Ale między ludem ostygł zapał, a natomiast rosło niezadowolenie. I w otoczeniu królewskiem znikła swoboda i wesołość; przymuszano się tylko do uśmiechów. Trzeźwiejsi zadawali sobie pytanie, co będzie, jeżeli królowa i teraz nie przyjdzie? I czuli przygnębienie.

Jedni gniewali się na Wasti za zawód, jaki im

zrobiła, inni czuli dla niej sympatyę i cześć, że szanowała swą godność.

Orszak eunuchów wrócił znów bez królowej.

Niezadowolenie tłumów objawiło się głośnym wrzaskiem. Król czuł się znieważonym publicznie.

Zwrócił się więc do książąt:

— Cóż powiecie, mężowie i słudzy moi wierni, jak osądzicie postępek królowej?

Ale doradcy milczeli. Żaden nie chciał głośno potępić Wasti, bo wiedzieli, że gniew królewski przeminie, a skutki rady mogą być dla doradców fatalne.

Ale gdy król patrzył gniewnie i poruszał się niecierpliwie, powstał Haman i rzekł:

— Ha, słuszny twój gniew, o panie! Królowa obraziła nie tylko ciebie, ale wszystkie książęta i narody, które są po wszystkich krainach królestwa Medów i Persów. Rozejdzie się bowiem mowa o tem do wszystkich niewiast i rzekną: król Achaszweros kazał, aby królowa Wasti weszła do niego, a ona nie chciała. I tym przykładem wszystkie żony książąt perskich i medyjskich lekce sobie będą ważyć mężów rozkazania. Przetoż słuszny jest gniew królewski.

Nastało znowu milczenie. Król, podniecony winem i słowami Hamana, złorzeczył królowej i całemu pokoleniu niewiast.

— Znieważyła nas Wasti — wołał — wzgardziła nami Chaldejka!

— Wzgardziła nami! — zaczęły wołać pojedyncze głosy w tłumie, a niebawem powstał jeden ogólny, straszny ryk na całem ogromnem podwórzu:

— Wzgardziła królowa ludem! Zdeptała nasze prośby!

Lud zakołysał się, jak morze wzburzone; zaczął przeklinać i złorzeczyć. Niewiasty zaczęły się ujmo-

wać za królową; powstały sprzeczki, kłótnie, zamieszanie.

— Cóż radzicie?—rzekł król do książąt.

Haman znów powstał, dał znak, aby się uciszono, i rzekł:

— Jeślić się podoba, o panie, niech wynijdzie wyrok od oblicza twego, a niech będzie napisan wedle prawa Persów i Medów, którego się przestępować nie godzi, aby żadną miarą Wasti więcej do króla nie wchodziła, ale aby królestwo jej inna, która jest lepsza, niż ona, otrzymała. A to po wszystkiem państwie ziem twoich niech będzie obwołane i wszystkie żony tak wielkich, jako i małych niech wyrządzają cześć małżonkom swoim.

— Mądrze powiedział dostojny Haman! — zawołano dokoła—mądre słowa jego!

— Żyj nam wiecznie, o królu, synu Aburamazdy!

— Żyj jasne słońce świata!

— Niech żyje rada mędrców!

— Niech żyje mądry Haman.

Wśród okrzyków ludu, dźwiękach trąb i grzmocie bębnów wrócił orszak królewski do wewnętrznych pokojów.

Na drugi dzień *angari* i *yakadole* na dzielnych koniach roznieśli do wszystkich rządców prowincyj i naczelników wojsk wyrok o usunięciu Wasti, napisany we wszystkich językach, jakich używano w obszernem państwie medo-perskiem.

X.

Aminadab posiadał w Suzie własny dom. Otrzymał go od króla za wydanie bandy Umba-

kidiniego, która była postrachem dla kupców i urzędników perskich. Były to resztki dawnego wojska asyryjskiego i patryoci asyryjscy, którzy po upadku Asyryi z rozpaczy chwycili się zbójeckiego rzemiosła i nie mieli litości dla Persów i Chaldejczyków. Aminadab jednak o tem nie wiedział. Byłby może inaczej uczynił z okupem, bo i on więcej miał powodów do nienawiści Persów i Babilończyków, niż do okazywania im przysług.

Dom jego był nieco wyższy i szerszy, aniżeli domy sąsiednie, choć budowa niczem się od innych nie różniła.

Niewielka sklepiona brama wychodziła wprost na ulicę; od niej prowadził wązki, ciemny korytarz na dosyć duże podwórze, dokoła którego były rodzaje werend; na słupach, wbitych w ziemię, opierał się lekki daszek, przytykający jedną stroną do ścian domu. Pod werendą były drzwi do pokojów. Pokoje były wązkie, sklepione, niektóre zaś pokryte płaską powałą, opartą na słupach palmowych. Większa część przeznaczona była na składy, w których leżały różne zapasy i sprzęty gospodarskie; kilka tylko służyło za mieszkania ludziom.

Nad całym domem ciągnął się taras, na który prowadziły strome schody z cegieł. Z tarasu otwierał się widok na sąsiednie domy.

Umeblowanie było dosyć skromne. Składało się przeważnie z krzeseł i taburetów różnokształtnych na nóżkach prostych lub skrzyżowanych. W alkowach stały łóżka drewniane na czterech lwich łapach z materacami i kołdrami.

Służba sypiała na matach.

W kącie podwórza stał piec do pieczenia chleba; na słupach portyku wisiały wory z winem i naczynia z wodą, aby w każdej chwili można było ugasić pragnienie. Na ognisku, roznieconem na środ-

ku podwórza, stał kocioł, w którym gotowano strawę.

Oprócz domu, dostała mu się jeszcze dziesiąta część łupów.

Został więc odrazu człowiekiem bogatym, bo łupy po zbójach były ogromne.

Zabrał kilku niewolników zbójeckich, kilku sobie kupił i urządził się dostatnio, ale po hebrajsku...

Jednę z największych izb zamienił na synagogę. Tu zbierali się w piątek prawie wszyscy rodacy z Suzy na obchód sabatu; tu opłakiwali swoją niewolę; tu błagali Jehowę o miłosierdzie.

Po modlitwie rozprawiano o sposobach ratowania narodu, aby nie utracił swej wiary, języka i odrębności; robiono składki na odbudowanie niepodległości i na ubogich; upominano tych, którzy choć na chwilę zapominali o swojem pochodzeniu. Nie wolno tu było przemawiać innym językiem, jedno hebrajskim, który tak wyraźnie przypominał im utraconą ojczyznę.

Dzień Pański był zarazem dniem ich własnych uczuć, westchnień i nadziei. Nie mogli się zgodzić na swe położenie, nie mogli nie marzyć o powrocie do ojczyzny, którą tak kochali.

Tu, w tym domu jego, gdy nie widzieli żadnej twarzy pogańskiej, gdy nie śledziły ich oczy i uszy królewskie, oddawali się całą duszą swym marzeniom. Mogli wypowiadać głośno i bez obawy swe życzenia; nikt ich tu nie nazwał buntownikami, nikt ich nie podał do więzienia za pragnienia tak zacne i tak wzniosłe, jak powrót do ukochanej ojczyzny. Bo któż zdolen ocenić, czem jest dla niego ojczyzna? Ten tylko, kto ją stracił.

Zbierała się w pewne dni młodzież, która pod okiem starszych ćwiczyła się w prawie Mojżesza; uczyła się historyi ojczystej i języka hebrajskiego.

Dom więc Aminadaba stał się szkołą życia narodowego.

Mardochai został pomocnikiem dostojnego Darawiusa, który z powodu wieku i choroby coraz rzadziej przychodził do kancelaryi. Porzucił swoją komorę w budynkach pałacowych i zamieszkał razem z Aminadabem i Hadassath. Sara otrzymała zarząd nad niewolnicami i prowadziła wszystkie sprawy niewieście.

W Suzie i jej kolicach było wielu żydów, którzy zajmowali się h dlem i rzemiosłami.

Habakuk, syn binda, miał ogromne składy wina, wonnych kadzid , cynamonu i pieprzu. Arbaces, syn Jojady, sprow lzał z Indostanu i Lahory perły i kosztowne kamie e, które sprzedawał do pałacu królewskiego, dygni rzom i kapłanom na pierścienie, pieczątki, rękojeści bransolety, łańcuchy, a nawet rzędy dla koni. G nameel miał sklep z wyrobami wełnianemi, z tkani ami z sierści wielbłądziej i kozy angorskiej i wszelki mi tkaninami babilońskiemi. Obededom, syn Gada, s rowadzał bawełnę, jedwab i wełnę z kraju Serów [1]), Kaszmiru i Arabii, które kupowali od niego rękodzielnicy babilońscy. Było wielu jeszcze innych kupców, mających mniejsze składy z towarami.

Handel w starożytności był o wiele trudniejszy, niż dziś. Kupiec musiał osobiście jeździć po towary, nieraz w bardzo odległe krainy, przez pustynie i góry, w których grasowały hordy napastnicze. Musiał więc łączyć się w liczne karawany, brać z sobą ludzi zbrojnych dla bezpieczeństwa i pomocy. Rzeki nie oddawały tej usługi handlowi, jak u nas; jedy-

---

[1]) Z Chin.

nie wielbłąd był głównym czynnikiem starożytnego handlu.

Z Suzy rozchodziły się na wszystkie strony drogi handlowe, na których w pewnych odstępach zbudowane były gospody, zwane dziś karawanserajami. Przy drogach tych były pewne punkty, w których schodziły się karawany dla odpoczynku i wymiany towarów.

Na królewskiej drodze do Sardesu takiemi punktami były miasta Holwan, przez który szła też droga handlowa z Ragi (Rages) przez Ekhatanę, do Harran i dalej do Syryi, Arbela, Mossel...

Inna droga prowadziła do Ekhatany w górę rzeki Choaspesa.

Na południo-zachód prowadziła droga do Babilonu...

Suza w owych czasach i później była punktem, łączącym kraje całej Azyi Mniejszej, Syryi i Egiptu z Indyami i innemi krainami wschodniemi...

Aszer z Aminadabem założyli ogromne składy wina i tkanin. Połączyli się też z innymi kupcami izraelskimi w celu odbywania wspólnie podróży handlowych.

Sporo jednak upłynęło czasu, zanim zrobiono pierwszą wyprawę, bo towarów były zapasy obfite; należało je wpierw sprzedać.

Tymczasem Mardochai przyniósł pewnego dnia nowinę, że dostojny Darawius umarł i wszyscy pisarze i urzędnicy z wydziału syryjskiego muszą być na jego pogrzebie. On zaś został na miejsce Darawiusa szefem wydziału.

Na drugi dzień bardzo rano nowy szef wydziału syryjskiego poprowadził swych podwładnych do domu Darawiusa.

Ciało nieboszczyka, obmyte starannie, oblane

miodem, ubrane w szaty paradne, leżało w trumnie glinianej, z zewnątrz polewanej na zielono, z wewnątrz na niebiesko. Twarz była urożowana, oczy podczernione węglem, ręce złożone na piersiach. Na twarzy przytwierdzono złotą blaszkę.

Około trumny cisnął się tłum płaczek, krewnych, przyjaciół i cała rodzina zmarłego.

Kobiety i dzieci, a nawet i niektórzy mężczyźni darli na sobie szaty, kaleczyli twarz i piersi i głośno płakali i zawodzili. Wszyscy posypali sobie głowy popiołem i pomazali twarze błotem.

Gdy już wszystko było gotowe, przykryto trumnę owalną pokrywką i przymocowano delikatnym cementem. W niższym końcu trumny był otwór na upust gazów.

Sześciu ludzi wzięło trumnę na barki i orszak pogrzebowy ruszył za miasto, do gaju, gdzie były grobowce.

Naprzód szli muzykanci i gromada płaczek, potem trumna, za trumną znowu płaczki i muzykanci, a potem rodzina, krewni, przyjaciele i pisarze, którzy oddawali ostatni hołd swemu zwierzchnikowi...

Zammamanaddin prowadził żółtego psa z dwiema plamami białemi nad oczyma, bo to święte zwierzę oczyszczało drogę, zanieczyszczoną przez trupa.

Mardochai niósł koszyk świeżych róż, inni przyjaciele i słudzy nieśli różne rzeczy: dzbany z winem, bogów domowych, naczynia szklane i tym podobne.

Z pośród wrzaskliwych tonów muzyki i zgiełku płaczek słychać było płaczliwe zawodzenia: „Biada, Darawio! biada nam, panie! Biada nam, ojcze! Co to będzie z nami? Dnia śmierci nikt nie wie!"

Darawius nie był mazdajasną, ale trzymał się starych bogów Suzy, to też nie oddano jego ciała na

pożarcie sępom, jak to czynią czciciele ognia, lecz pochowano w grobie kamiennym, sklepionym. Do grobu włożono mu lampę z gliny palonej, aby mu przyświecała przy przejściu na tamten świat; postawiono dzban z winem, kilka ptaków upieczonych, aby się miał czem posilić; sztylet kościany, pęk kwiatów i domowych bożków: Szuszanaka, Szumudu, Lagamara, Partikirę, Amankasibara, Udarana, Sapaka, starych bogów damickich, których Suza czciła przez tyle wieków, a którzy teraz coraz mniej mają czcicieli.

Mardochai, skoro tylko spełnił obowiązek, wycofał się z orszaku i zawrócił do miasta.

Za nim podążył Zammamanaddin.

— Hosanna, Marduka! — krzyczał rozpromieniony — jesteś moim zwierzchnikiem; bądź więc pozdrowiony!

Chciał upaść na twarz, ale Mardochai schwycił go za ręce i śmiejąc się, rzekł:

— Nie bądź głupi, Zammamanaddinie, jestem i zawsze będę twoim przyjacielem, zrobię cię też swoim pomocnikiem.

— Hosanna rabba! — krzyczał uszczęśliwiony Asyryjczyk i gwałtem chciał się przed Mardochai rzucić na brzuch, ale ten trzymał go za ręce i nie pozwalał.

— Oby cię Assur, Merodach, Isztar i wszystkie bogi całego świata miały w opiece!

— Wolałbym ci ja u swego króla być poganiaczem osłów, niż w Suzie pierwszym książęciem rady—rzekł smutnie Mardochai.

— Mądre słowa twoje, panie, ale i u wroga lepiej być wysokim urzędnikiem, niż podłym sługą.

— Powtarzam ci, Zammamanaddinie, że jestem dla ciebie tem, czem byłem dawniej, a więc nie nazywaj mnie panem.

Tymczasem przyszli do bramy pałacowej, gdzie spotkali gromadę sług i niewolników z wydziału sy-

ryjskiego, którzy, leżąc na brzuchach, wykrzykiwali pozdrowienia nowemu szefowi. Niebawem powrócili z cmentarza pisarze i wśród wesołych okrzyków zaprowadzili Mardochai do kancelaryi.

„Przełożony wydziału" był to urząd nie lada, to przecie pomocnik sekretarza, a sekretarz — to książę rady. Mardochai więc został dygnitarzem i odtąd brał udział w naradach kancelaryjnych, które się odbywały pod przewodnictwem sekretarza, dostojnego księcia Chorszny.

Na drugi dzień była sobota—dzień Pański. W domu Aminadaba zebrani Hebreowie wołali do Jehowy o szczęście dla ukochanej ojczyzny i poniżenie pogan. Zapał modlących się był wielki; jęki i krzyki wyrywały się z głębi serc jakoś gwałtowniej i rzewniej, niż zwykle; krzyk ten, zmieszany z płaczem, był nie tylko prośbą, ale ujściem strasznego bólu, jaki rozsadzał piersi wszystkich zgromadzonych. Pamięć na rozproszonych braci, na ich poniżenie, na pęta niewoli i wreszcie na nieszczęsną ojczyznę tłoczyła ich okropnie ciężkim kamieniem. Nie wiedzieli dlaczego, ale dziś bardziej odczuwali to nieszczęście i czuli się bardziej usposobionymi do modlitwy. To też modlili się głośno, namiętnie, aż krzyk ich przebijał się przez ściany i słychać go było na ulicy.

Wtem wszedł do izby Aszer zupełnie zmieniony na twarzy. Potoczył się, jak po wypiciu amfory wina, zrzucił simlę, której używał w dzień Pański, odpiął hagorę i usiadł na taburecie. Był jakby obłąkany, jakby nikogo nie widział.

Przycichły jęki i płacze; zamarła modlitwa na ustach. Wszyscy patrzyli z przerażeniem na Aszera.

— Cóż ci to, bracie? — zapytał w końcu Mardochai.

Aszer spojrzał na niego, a z oczu popłynęły mu dwie obfite strugi łez.

Wszyscy oniemieli.

— Mnie nic — odrzekł powoli, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło — ale narodowi naszemu bieda...

— Co się stało? — zawołali jednym głosem.

— Stało się wielkie nieszczęście! — rzekł Aszer i wybuchnął głośnym płaczem.

Obecni osłupieli.

— Ależ powiedz, co się stało? — zawołał niecierpliwie Aminadab.

Aszer objął głowę rękoma i zaczął biadać:

— Usta moje nie chcą wymówić tego, co się stało. Język mój stanął mi wpoprzek ust i nie może wykrztusić tak strasznej nowiny... O, Adonai, Adonai, czemuż nas tak każesz?

— Zwaryował, czy co? — rzekł Aminadab.

— Och, tak — mówił Aszer — nieszczęście rozum mi odjęło. Czemuż Bóg raczej nie dał mi śmierci, niż dożyć dnia dzisiejszego? Czemuż ten dzień nie stał się ciemny na wieki! Czemuż słońce nie zatrzymało się w podziemiach na zawsze! Czemuż oczy moje patrzą, czemuż serce czuje? O, Jeruszalaim, Jeruszalaim! o miasto święte!

Rozległo się uderzenie kołatką i wszedł Habakuk. Włosy miał posypane popiołem, oczy czerwone, a szaty podarte.

Wszyscy patrzyli na niego, a nikt nie śmiał pierwszy zapytać.

Ale Habakuk porwał się za głowę i jęknął:

— Nieszczęście, bracia!

— Jakież? — zapytano.

— Jerozolima zburzona tak, iż kamień na kamieniu nie pozostał...

Osłupieli.

Błagali przed chwilą Jehowę tak gorąco o zachowanie i wywyższenie miasta; serca ich wezbrały

tęsknotą bezgraniczną, niczem nieukojoną do pól rodzinnych, do wzgórz, gajów, do świątyni Bożej; nadzieja nie dopuszczała rozpaczy; chwytali się jej, jak tonący chwyta się trzciny, rosnącej na brzegu; walczyli ze zniechęceniem. A oto zdruzgotane są ich marzenia, jak samo miasto święte; zgasła nadzieja, jak gaśnie gwiazda za chmurą, a roztoczyła się przyszłość, jak noc ciemna, zimna.

Mardochai zgrzytnął zębami, rozdarł simlę i rzucił na ziemię. Inni uczynili to samo, i powstał krzyk i płacz większy, niż przedtem.

Jedni rwali sobie włosy, inni uderzali głowami o ściany lub rzucali się o ziemię i wymawiali Jehowie to nieszczęście, jakie na nich zesłał, i pytali Go, czego żąda od nich za powrócenie im wolnej ojczyzny i jaką pokutę mają czynić, by wolność mieli?...

Gdy się zmęczyli płaczem, gdy rozpacz ustępowała przed odrętwieniem i ciche zawodzenie miasto krzyku napełniło izbę, Mardochai zapytał:

— Zkąd ta wieść?

— Przyjechali kupcy babilońscy i przywieźli pismo od braci tam mieszkającej. Oto, czytajcie! — rzekł Aszer, podając papirus.

Mardochai zaczął głośno czytać:

„Sedecyusz, którego był Nabuchodonozor zmusił przysiądz na Pana, odstąpił od króla Nabuchodonozora i wykroczył niezbożnie przeciw Bogu, i czynił nieprawość on i książęta kapłańscy i wszystek lud. Pan też przywiódł na nie króla Chaldejskiego, który pomordował młodzieńce mieczem, a nie zlitował się nad panienką i starcem, ani nad zgrzybiałym nawet. I wszystkie naczynia domu pańskiego tak większe, jako i mniejsze, i skarby kościelne i królewskie i książęce przeniósł do Babilonu. Spalili nieprzyjaciele dom Boży i zburzyli mur jerozolimski i wszystkie

wicie popalili i co jeno było kosztownego, obalili. Jeśli kto był miecza uszedł, zagnany został do Babilonu, jako niewolnik".

Zapanowała cisza grobowa; zdawało się, jakby ci ludzie skamienieli.

Habakuk podał Mardochai drugi papirus i rzekł:

— Oto list proroka Jeremiasza.

Mardochai czytał:

„Wypis listu, który posłał Jeremiasz do tych, które, pojmawszy, miano zagnać do Babilonu od króla Babilońskiego, aby im opowiadał wedle tego, jako mu od Boga rozkazano.

„Dla grzechów, któremiście przed Bogiem grzeszyli, będziecie zawiedzeni więźniami do Babilonu od Nabuchodonozora, króla Babilońskiego. Gdy tedy wnijdziecie do Babilonu, będziecie tam przez wiele lat i przez czasy długie, aż do siedmiu pokoleń. Potem wywiedzie was Bóg ztamtąd w pokoju..."

— A więc za grzechy mamy niewolę? — zawołał Aminadab.

— Nie inaczej! — odparł Mardochai.

— Ale Pan obiecuje nam wolność?

— O! napewno niewola się skończy!

— Czegoż więc płakać i rozpaczać, skoro niewola zawsze trwać nie będzie? Czemuż upadać na duchu, skoro jest nadzieja wolności? Niech uwielbiony będzie Bóg ojców naszych, bo choć podał nas w niewolę, zostawił nadzieję!

Listu słuchano uważnie. Zachęcał w nim prorok do wytrwania w wierze ojców, potępiał bałwochwalstwo, upominał, aby trzymano się mocno obyczajów narodowych, iżby, gdy przyjdzie chwila wolności, wrócili do ojczyzny nieskalani obczyzną.

— Pięknie mówi prorok — rzekł Mardochai, zwijając papirus — należy trzymać się wiary i obyczajów swoich i czekać cierpliwie końca niewoli.

— To mało — odezwał się Sela — trzeba pracować nad wychowaniem nowych pokoleń, w których naród czułby się odrodzonym i godnym wolności.

— I gotować zemstę poganom! — krzyknął Aminadab.

— Niezdatnyś do rady, Aminadabie — ofuknął go Mardochai — jeszcześ zbyt młody.

Aminadab się zawstydził, ale wnet się zapalił i zawołał:

— Być może, jednak zemstę przysiągłem poganom, gdym samotny błądził po górach! Zemstę przysiągłem, gdym był pojmany przez zbójów, zemstę im dziś przysięgam! Żywie Bóg.

— I któremuż to poganinowi przysięga twoja szkodę wyrządziła? Ty im zemstę obiecujesz, a oni zdrowi i weseli nam urągają.

— Zemściłem się na zbójach, bo mnie męczyli, a teraz nikt mi złego nie czyni. Ale niechby tylko poganin powstał przeciw mnie, nie poddałbym mu się dobrowolnie, jak baran rzeźnikowi.

— Więc cóżbyś robił?

— Zabiłbym go, jak Mojżesz Egipcyanina, który znęcał się nad jego rodakiem. To gniew święty!

— Dzielny jesteś, Aminadabie — rzekł Habakuk. — Oby wszystka młodzież nasza była przejęta takim duchem nienawiści do pogan i była gotową mścić się za krzywdy nam wyrządzone. Ale to trudna walka z niezliczonemi zastępami naszych wrogów.

— Któż jednak może wiedzieć, po czyjej stronie moc? — zauważył Sella. — Rozważcie: kto mógł wyrównać w sile Asyryjczykom? Nikt. Drżała przed nimi wszystka ziemia aż do granic Chus! Służyli im

wszyscy królowie ziemscy; a gdzież się podziała ich siła? Gdzie ich królestwo i zastępy mocne? Niewolnicy i wygnańcy, podobni nam, bez kraju i miasta... Nędzne i mało znaczące plemię Medów zgruchotało potęgę Assura, jak słaba ręka niewiasty gruchocze naczynie gliniane.

— Lecz cóż ma to do nas? — zapytał Elkana.

— To, że nie powinniśmy tracić nadziei

— Przecież nadziei nie tracimy, skoro wierzymy prorokom. Że niewola się skończy, wiemy; ale ztąd nie wynika, ażebyśmy nic dla narodu swego nie robili.

— I cóż robić trzeba?

— Przedewszystkiem trzeba mieć swój skarb narodowy, do którego każdy ma płacić podatek. I to nietylko w Suzie, ale wszędzie, kędy są nasi bracia.

— Mądrze powiedział Sella — rzekł Mardochai — gdy będziemy mieli skarb narodowy, możemy coś robić dla nieszczęsnych braci naszych, a gdy nadejdzie chwila wyzwolenia, będziemy przygotowani do przyjęcia wolności.

— Niech więc dziś skarb ten będzie założony!— zawołał Aminadab. — Będę płacił do niego po dziesięć darejków [1]) rocznie!

— I ja tyleż — rzekł Aszer.

— I ja! — zawołał Habakuk.

— Ja będę dawał po pięć darejków, bom od was biedniejszy — rzekł Sobna.

I urosła spora suma, która w ciągu paru lat mogła się zamienić w olbrzymi kapitał, bo nikt nie skąpił na tę swoją *gazę*, która miała być ich spójnią i potęgą.

---

[1]) Około 70 rubli.

W kilka dni potem wyruszyła karawana kupców hebrajskich z Suzy. Należeli do niej mocarze kupiectwa Suzyjskiego. Habakuk syn Abiuda, Arhaces syn Jojady, Ganameel syn Otoniela, Obededom syn Gada, Aszer, Aminadab i mnóstwo kupców mniejszych z Suzy, Madakty, Talliz, Pasurgadis (Persepolis) i całej okolicy.

Kupców, ich sług, przewodników było stu pięćdziesięciu mężów. Wszyscy dobrze uzbrojeni.

Aminadab pożegnał się z Mardochai i Hadossath, która płakała. A gdy ją pocieszał, mówiła:

— W Babylu znajdziesz wiele tysięcy naszych braci; może i matkę moją odnajdziesz. Przywieź ją do Suzy.

— Przywiozę, Hadassath! — zawołał — bylem tylko odnalazł. Oj, byłaby to radość! A ty nie płacz, bo ja się i tak cieszę niezmiernie. Zobaczę się z pasterzami, odwiedzę starego Pullę-Achiddina; może znajdę tego zbója, co chciał nas sprzedać. Oj, dałbym mu teraz.

— A może zginiesz w drodze?

— Czemuż mam zginąć? Jedzie nas dużo: mamy oręż; niełatwo damy się pokonać. W Babylu zobaczę wielu naszych; może kogo ze znajomych, krewnych. Toż ci będę potem opowiadał.

Ona jednak była niepocieszona; odprowadziła go z Mardochai za miasto, a gdy dromadery ruszyły, dzwoniąc tęskno w powietrzu i Aminadab zniknął w chmurze siwego pyłu, zakryła twarz rękoma i zaczęła głośno płakać.

— Już go nie zobaczę — odpowiadała stryjowi, który ją pocieszał.

Karawana tymczasem posuwała się wielką drogą królewską, która prowadziła do Sardes i dalej aż do brzegów morza. Jazda na dromaderze nie była zbyt przyjemną. to też Aminadab przesiadał się czę-

sto na konia i jechał naprzód z kilku jeźdzcami. Ale dnie płynęły wesoło; odpoczywano w karawanserajach; spotykano inne karawany, które jechały do Suzy, lub astandesów, pędzących z rozkazami królewskiemi do satrapów.

Okolica była piękna. Rzeka Charspes wiła się srebrnym wężem między pagórkami, porosłemi winnym krzewem, drzewem oliwnem lub palmą daktylową. Na pochyłościach gór porozsiadały się sykomory z rozłożystemi konarami, smukłe topole i dęby wspaniałe. Częste wioski i grody witały wesoło kupców; mieszkańcy ich dostarczali żywności i wszystkiego, co było potrzeba.

Noclegi w karawanserajach, lub w pięknych gajach nad brzegiem szemrzącego potoku miały szczególny urok, zwłaszcza dla tych, którzy pierwszy raz podobną podróż odbywali.

Aminadab do tych należał. Wszystko więc zajmowało go bardzo, o wszystko pytał, na wszystko zwracał uwagę, a że był usposobienia nader żywego, wszędzie go było pełno. Wieczorami rozweselał kupców grą i śpiewem, a i poganie w karawanserajach słuchali go z zachwytem.

Parasangi [1]) mijały prędko: podróż szła szczęśliwie, i w parę dni stanęli w Holwanie.

Zastali tu kilka karawan, a między niemi była jedna kupców izraelskich z Rages i Ekbatany.

Był tu więc chaos języków, twarzy, ubiorów, uzbrojenia i towarów.

Trzy dni odpoczywała nasza karawana, ale kupcy nie próżnowali. Sprzedawali jedno, kupowali inne, zamieniali trzecie. Drogi się w Holwanie krzyżowały, karawany z różnych stron jedne przychodziły,

---

[1]) Parasanga = $^3/_4$ mili niemieckiej.

inne odchodziły. Był tu więc handel gorączkowy, wrzaskliwy, prawdziwie wschodni.

Od rana do nocy wrzało, jak w ulu.

Aminadab przy tej krętaninie spotkał dawnego towarzysza z chóru jerozolimskiego.

Jechał on z karawaną z Harranu do Rages i przyszedł wymienić parę sztuk tkanin damasceńskich na sztaby złota i srebra.

Nie odrazu się poznali.

Ale gdy po skończonym targu zaczęli się wzajemnie wypytywać, gdy się dowiedzieli, kim są, padli sobie w objęcia i długo płakali.

Aminadab zaprowadził go do swego namiotu, poprosił kupców ze swej karawany i wyprawił ucztę.

Fua, bo tak się nazywał ten jego dawny towarzysz, był przy oblężeniu Jerozolimy, patrzył na jej spalenie i dostał się do niewoli. Opowiadał więc szczegółowo o tem wielkiem nieszczęściu.

— Gdy wojsko chaldejskie zbliżało się do Jeruszalaim, Bóg zrządził, że to było w roku sabatowym, Sedecyasz wraz ze wszystkimi panami obowiązali się nadać wolność swym niewolnikom. Chcieli tem przebłagać gniew Boży. Zabito więc na ofiarę cielca, jak prawo nakazuje, rozdzielono na dwie części, i przechodzili panowie i król między częściami wołu ofiarnego, ściągając na siebie przekleństwo, gdyby obietnicy nie dotrzymali. Ale gdy nieprzyjaciel od miasta odstąpił, ścigając faraona egipskiego, panowie zabrali napowrót niewolników, każdy swojego, i poddali ich nanowo pod jarzmo niewoli. Bóg rozgniewany zgwałceniem przymierza, tak uroczyście zawartego, rozkazał nabi Iremjah najsurowiej gromić ich... który też wołał: „Nie słuchaliście głosu Bożego, głosiliście wolność, a nie daliście jej braciom swym, przeto i ja wam przepowiadam wolność, ale do miecza, zarazy i głodu, bo tak jęczeć będziecie w niewoli u obcych,

jak jęczą u was wasi bracia!" I sprawdziły się jego słowa, bo Nabuchodonozor, pokonawszy króla Egiptu, wrócił do Jeruszalaim.

— Kelalah! gedslim [1])—zawołało kilka głosów.

— Nie przeklinajcie ich—rzekł Fua—widziałem ich nieszczęście. Gorzej im teraz, niż niewolnikom ich. Byli zaślepieni — teraz wiedzą, co to jest niewola.

— Czy pewna, że Pan kazał Chaldejczykom zburzyć Jeruszalaim za odebranie wolności niewolnikom?

— Nie inaczej—bo tak mówi nabi Iremjah.

— Przyłączyły się do tego i inne grzechy narodu—rzekł Aszer—a były liczne. To też gdy sami zawiniliśmy, sami pokutujmy i sami pracujmy nad poprawą.

— O! jak sprawiedliwy jest Bóg!—zawołał Aminadab.—Ukarał naród niewolą, że nie umiał dać wolności braciom swoim.

— Mądrze powiedziałeś, beni—rzekł Aszer.—Bóg poniży narody, które depczą wolność innych, a ludy, rozmiłowane w prawdziwej wolności, wyniesie wysoko z poniżenia.

— Amen!—szepnął śpiący już Habakuk.

Nazajutrz połączone dwie karawany hebrajskie: nasza z Suzy i druga z Ekhatany, podążyły do Karkamiszu. Droga szła przez okolice górzyste, między dopływami Tygru, Radanu i Turnatem. Za Diglatem była równina, pokryta gęstemi lasami. potem posuwano się w górę wielkiej rzeki Puratu.

Po kilku dniach zatrzymano się w Karkamisz.

Były tu sławne w starożytności zjazdy kupców z całego świata.

---

[1]) Przekleństwo panom.

Nasza ogromna karawana zatrzymała się za miastem, niedaleko świątyni Athary.

Rozbito namioty i wystawiono towary. Był to jarmark, o jakim nikt z nas pojęcia mieć nie może.

Na olbrzymiej przestrzeni bielały namioty, jak wielki obóz wojska. Między namiotami były ulice, przy których rzędem nieskończonym ciągnęły się towary w ogromnych pakach, związanych powrozami, w pudłach drewnianych, w beczkach glinianych, workach skórzanych. lub wreszcie bez żadnych opakowań leżały stosami na gołej ziemi.

Za namiotami stały wielbłądy, konie, osły i inne zwierzęta, które napełniały powietrze przeraźliwemi głosami. Od rana do nocy wrzało tu życie wśród ogłuszającego wrzasku.

Holwan był niczem w porównaniu z jarmarkiem tutejszym.

Prorocy dają nam zaledwie słabe pojęcie o tych niezmiernie ciekawych zbiorowiskach kupiectwa i ogromie nazwożonych towarów, jak to było w Karkamiszu.

Egipt i Babilon dostarczały przepysznych tkanin, zwłaszcza bisiorów; wyspa Eliza purpury i materyj ciemno szafirowych. Kupcy z Kartaginy ułożyli stosy srebra, żelaza, cyny i ołowiu. Grecka ziemia Thuhal [1]) i Mosoch [2]) dostarczyły naczyń miedzianych. Z Togorma [3]) przyprowadzono mnóstwo koni i mułów. Synowie Medan [1]) mieli wyroby z kości słoniowej i drzewo hebanowe. Syryjczycy nazwozili kamieni drogich, pereł z Arabii i tkanin damasceńskich. Z ziemi żydowskiej była pszenica, balsam, miód, oliwa i guma. Z Damaszku—wino gęste i „wełny najlepszej

---

[1]) Hiszpania.
[2]) Kappadocya.
[3]) Frygia.

farby." Dan i Grecka ziemia i Mosel wyłożyły rozmaite wyroby żelazne, staktę i cynamon. Z krainy Dedan były wspaniałe kobierce rozmaitych barw i rozmiarów. Arabska ziemia i kraina Cedar [2]) napędziły niezmierne gromady owiec i kóz. Subejczykowie i kupcy z Reema [3]) sprzedawali kadzidło i różne pachnące korzenie, złoto i kamienie drogie. Kupcy z sąsiedniego Haranu, z Asyryi mieli płaszcze hyacyntowe, wzorzyste, różne tkaniny, które leżały w pakach, związanych powrozami. Dalej były wina z rozmaitych stron, cynamon, pieprz, piasek złoty, nawet futra, których używano do ozdób i wyścielania namiotów.

Wśród tych bogactw, ułożonych rzędami w różnych kierunkach, snuli się kupcy, faktorowie, tłómacze i posługacze. Krzyk, gwar w rozmaitych językach, kłótnie, przekleństwa, i śmiechy mieszały się z rykiem bydła i muzyką i śpiewem tancerek i kuglarzy.

Aminadab w pierwszych dniach chodził, jak oszołomiony. Mnóstwo bogactw, zgromadzonych w jednem miejscu, zrobiło na nim wrażenie, iż uczuł się nader małym i ubogim. Ta zamiana według dobrowolnej umowy między ludźmi dalekimi sobie, którzy porozumiewali się przez tłómaczów, nasuwała mu myśli, że ludzie powinni zawsze żyć w pokoju, pracować w bratniej miłości.

Tu — między tymi wrzeszczącymi kupcami — wstrętnemi mu się wydały wszystkie wojska, zamki, władcy i ciemiężcy ludzkości. Jakby to dobrze było, gdyby ludzie nie myśleli robić krzywdy innym, ale

---

[1]) Wyspa Rodoć.
[2]) Kraina Arabii, w pustyni agareńskiej.
[3]) Miasto w Arabii szczęśliwej.

jedni drugim pomagali raczej do usuwania tak licznych przykrości życia.

Do Kaszkamiru napłynęło mnóstwo pątników do świątyni Athary. Były w tym czasie wielkie uroczystości: procesye, ofiary, którym towarzyszyły całe zastępy tancerek i śpiewaczek.

Po nabożeństwie włóczyli się muzykanci i tancerki między namiotami, prosząc o jałmużnę.

Pewnego dnia Aminadab szedł do kupców damasceńskich, od których miał nabyć win i tkanin do swego sklepu.

Ulice i place były zatłoczone; wszędzie panował ścisk, krzyk i pośpiech. Wyminął więc plac jarmarczny i znalazł się w niewielkim gaju sykomorowym. Ale i tu stały tłumy zbite i zachwycały się popisami tancerek.

Przystanął.

Kilkunastu muzykantów grało na fletach z trzciny lotosu, na trąbkach rogowych i bębenkach. Tancerki półnagie robiły dziwaczne ruchy i śpiewały pieśni. Tłum krzyczał i klaskał w dłonie; stara jakaś kobieta zbierała jałmużnę.

Zbliżyła się do Aminadaba i wyciągnęła rękę. Rzucił jej parę *ger* [1]).

Zaczęła się wpatrywać w niego, jakby starała się coś sobie przypomnieć. Nagle zabłysły jej oczy i rzekła:

— Tyś był u Pulla Achidina w górach Aramu?

— Byłem—odrzekł zdziwiony Aminadab.

— O, potężny Melkarte i boska Astaroth, dzięki wam! O, dobrzy Kabirim, bądźcie błogosławieni!

Zdziwienie Aminadaba wzrosło.

---

[1]) Gera, znaczy ziarnko, miała wartości około dziewięciu groszy.

— Kto jesteś, niewiasto?—zapytał.

— Nie pytaj o to, młodzieńcze, bo dowiesz się niezadługo. Powiedz mi raczej, w którym namiocie mieszkasz?

— Namiot mój jest między namiotami kupców, którzy przybyli ze Wschodu słońca, z krain dalekich, gdzie są miasta wielkie: Suza, Ragi i Ekhatana.

— Poczem poznać twój namiot?

— Dach jego szkarłatny, ściany białe, a przed nim stoi sługa w długiej szacie w czerwone i niebieskie pasy. Jest to namiot Aminadaba ben Aod, kupca z miasta Suzy.

— Obyś był szczęśliwy! — szepnęła i znikła w tłumie.

Wieczorem tego dnia Aminadab spać nie mógł. Leżał w swym namiocie i przez otwór, zrobiony u góry, wpatrywał się w gwiazdy, które z wysoka mrugały do niego. Wspomnienia dawne przypłynęły do niego szeroką falą. Widział poczciwą twarz starego Pulli Achidina, który go przygarnął; widział te wzgórza lesiste, w których przepędził dwa lata tak szczęśliwie, że tylko tęsknica do ojczyzny mu szczęście mąciła; nareszcie stanęło mu w myśli to rozkoszne dziewczę, które omało nie zrobiło z niego poganina Aramejczyka.

— Co ona też robi—myślał—może została żoną Mukinii, albo innego pasterza; może dziękuje swym bogom, żem uciekł od niej, jak ja dziękuję mojej Hadassath, że mi powróciła miłość swoich?

Myślał o tej strarej, co zbierała jałmużnę, i szukał w pamięci, coby była za jedna. Ale myśli zaczęły mu się plątać, obrazy przeszłości mieszały się w półśnie.

I zdało mu się, że płótno namiotu uniosło się i weszła niewiasta w białej, długiej szacie.

Weszła i stanęła i patrzyła na niego długo. Potem uklękła przy nim, nachyliła się i szepnęła:

— Aminadabie, nie poznajesz mnie?

Oprzytomniał, usiadł na kobiercu i patrzył jej w oczy, które w ciemnej nocy świeciły, jak dwa robaki świętojańskie.

— Sarwia!—krzyknął i opadł na poduszki.

— Więc to ty jesteś naprawdę? Więc widzą cię nareszcie moje oczy strapione?

— Co tu robisz?

— Patrzę na ciebie i cieszę się.

Wzięła go za rękę i zaczęła mówić:

— Jestem w świątyni Athary, sposobię się do jej służby. Wzgardziłeś mną — nie szukam zemsty, jak mi radził Baal; nie zatapiam żelaza w twe piersi, na których niegdyś z rozkoszą kładłam głowę; nie rzuciłam się w paszczę Molochowi, ale poszłam służyć bogini i rozmyślać przez całe życie o moim Adonie!

— Opuściłaś swoje góry? — zapytał drżącym głosem.

— Niemiłe mi były, gdy zginął mi mój Adon. Oczy moje zakryła ciemność, członki osłabły, wołałam śmierci. Ojciec rwał włosy, matka płakała. Sprowadzili czarownicę, która mnie pilnowała, lekami poiła i okadzała ziołami. Co ja potem wycierpiałam, o Atharo, Atharo!

— Teraz jesteś zdrowa?

— O, nie, mój Aminadabie, zdrową już nigdy nie będę. W piersiach mam ból straszny, który ustąpić nie chce. Gdy umilkną śpiewy i głos piszczałek, cytr i bębnów, gdy przyjdzie spokój i cisza, błąkam się po ogrodzie wśród nocy, jak opętana, a ból jest wtenczas tak straszny, że biegam i wołam: Atharo, ratuj! bogini wielka, zmiłuj się!

Aminadabowi żal się zrobiło dziewczyny, ścisnął więc ją za ręce i rzekł:

— Sarwio, nie miej do mnie urazy. Pamiętasz, jako stara Dayas powiedziała, że ty nie będziesz żoną moją. Taki los zgotowali ci twoi bogowie, a ty w nich wierzysz.

— Mylisz się, Aminadabie, Dayas tego nie powiedziała. Mówiła tylko, że ty zginiesz dla mnie, bo cię zabierze ta mała Hebrejka, ale ona nie będzie twoją żoną.

— Skłamała ta stara!—zawołał Aminadab.

— Nie wiem, czy skłamała, ale tak powiedziała, a ona rzadko się myli.

— Ja nie wierzę przepowiedniom pogańskich wróżek.

— Jednakże mówią one prawdę:

Nastało milczenie.

— Powiedz mi, gdzie mieszkasz?—zapytała się Sarwia.

— Daleko ztąd! Jechaliśmy przez Harran, Holwan i wiele innych miast, jechaliśmy przez góry, lasy, błota, przepływaliśmy wiele rzek...

— Ale jak się nazywa to miasto, gdzie mieszkasz?—przerwała Sarwia.

— Suza. Jest to bardzo duże miasto. Jakie tam są piękne pałace królewskie, ogrody, ile tam wojska, ilu kupców!... I ja jestem kupcem, mam swój dom.

I opowiedział jej swoje dzieje od czasu, jak się rozstali.

Słuchała go uważnie i wzdychała.

— Pulla Achidin umarł — rzekła, gdy skończył opowiadanie.—Zachorował po twojej ucieczce i zabrała go Harpyja... I matka moja nie żyje, a ojciec wziął sobie inną niewiastę...

XI.

Skwar słoneczny ustał. Od gór Elwendu z wodami rzeki Choaspes płynął wietrzyk chłodzący.

Słońce chyliło się ku zachodowi.

W ubogiem mieszkaniu Zammamanaddina siedział Mardochai. Był smutny i zamyślony. Zammamanaddin przeklinał na wszystkie bóstwa asyryjskie Persów, Medów i króla ich Achaszwerosza.

— Niech ich Allat pochłonie! Niech ich otoczy ciemnościami bóg Irkalla! Niech karmią się błotem i kurzem brudnym. Niech Namtar, duch zarazy, wleje im chorobę w każdy członek!

— Rozkaz królewski—rzekł Mardochai—obiega wszystkie krainy królestwa. Astandesi wręczają go satrapom... i zacznie się poszukiwanie pięknych dziewczyn, a najpiękniejsza z nich zajmie miejsce Wasti.

— Bodaj ich zdusił Izdubar!—mruknął Zammamanaddin.

— Izdubar ich nie zdusi—rzekł smutno Mardochai, a oni zabiorą mi Hadassath, tę drogą dziewczynę, tę sierotę, której jestem opiekunem.

— I cóż jej się złego stanie?—wykrzyknął Zammamanaddin, urażony nieco uwagą Mardochai o Izdubarze.

— A jakież dobro czeka ją w haremie? Tam rozpusta, intrygi, nienawiść, życie dzikich zwierząt. Tam nikt niepewny życia! Uschnie mój złoty kwiatek, zginie moja Hadassath. Boże, odwróć od niej oczy nieprzyjaciela!

— A może ona zostanie królową?

— I wtedy żałowałbym dziewczyny!

— Prawdę powiedziałeś, Marduka. Ten Achaszwerosz to nasz wróg, ciemięzca. Oby go Namtar

sześćdziesiąt razy uderzył chorobą! To też nie z miłości ku niemu życzyłbym Hadassath, aby została królową, ale ze względu na korzyści, jakie mogą spaść na nas.

— Nie spodziewam ja się żadnych korzyści od wroga!

— Mądrze rzekłeś, ale niech tylko twoja dziewczynka zostanie królową, to już my o korzyściach pomyślimy.

— Korzyść będzie taka, że spotka ją los Aryenidy, córki króla Alyatesa, Tigranuki, siostry Tigrana i Wasti.

Nastało milczenie.

Po chwili Zammamanaddin rzekł:

— Niechby tylko była królową choć przez krótki czas, moglibyśmy coś zrobić.

— I cóżbyśmy zrobili?

— To się pokaże.

— Ty zawsze marzysz o czemś, Zammamanaddinie!

— Trzeba marzyć, Marduka! Marzenie o wolności i wino w chwilach zwątpienia, to moje życie. Marzyć powinniśmy o rzeczach, które wydawać się mogą nieprawdopodobne, a jednak są możliwe. Na świecie dzieją się rzeczy niespodziewane. Rozważ, Marduka; niedawno Assur był potężny, cała Azya i Egipt drżały przed nim, Suza mu hołdowała, Suza przyjmowała Assurbanipala, jako władcę świata, a dziś... marne jakieś plemię zburzyło Niniwę i wzięło Assura w niewolę. A to tak niedawno, tak niedawno! Któżby się spodziewał, że Assur służyć będzie Persowi? Czemuż więc nie mam marzyć, że przyjdzie czas, iż będę trzymał Persa i Meda za łeb, jak oni mnie dziś trzymają?

Mardochai uśmiechnął się boleśnie.

— Nie śmiej się, Marduka! Wszystko stać się

może i to niezadługo. Miałem dziś sen, że Assur trzymał za łeb Ahuramazdę—a to sen wieszczy.

— A i ja miałem dziś sen — zawołał Mardochai.

— I cóż ci się śniło? — zapytał ciekawie Zammanaddin.

— Sen ten kiedyś miałem w Jerozolimie, gdy wojska króla Nabuchodonozora oblegały nas — rzekł Mardochai.

— Oh? To napewno ostrzeżenie bogów. Opowiadaj!

— Widziałem niebo okryte chmurami, które grzmiały piorunami i paliły się błyskawicą; na ziemi był płacz wielki i zamieszanie. Nagle stanęły do walki dwa wielkie smoki i zadrżeli ludzie sprawiedliwi i wołali do Boga. A gdy ich krzyk był wielki, ukazało się źródło małe i urosło w wielką rzekę i rozlało się w wielkie wody. Potem znikły chmury, zajaśniało słońce i zginął ucisk, bo uciśnieni zostali wywyższeni i pożarli swych ciemiężców.

— Hm—mruknął Zammamanaddin—sen rzeczywiście wiele znaczy. Ale coby oznaczał?

— Nie mogę sobie wytłómaczyć.

— Oho! nie tak to łatwo. W rocznikach Assura zapisano, że Izdubar nie mógł znaleźć człowieka, któryby mu wytłómaczył sen—cokolwiek podobny do twojego—aż wskazano mu potwornego ducha, Eabani, któremu nikt nie mógł dorównać w mądrości i który w nocy pasł się ze stadem gazeli, a w dzień ukrywał się ze zwierzętami polnemi. Izdubar posłał do Eabani dwie piękne kobiety: Hakirtu i Upasamru...

— Jak Eabani wytłómaczył ten sen?—przerwał Mardochai.

— Że Izdubar zwycięży swych wrogów.

— Szkoda, że ja nie mam takiego Eabani.

— Bądź cierpliwy, Marduka, ja nie jestem głup-

szy od tamtego mędrca; nie darmo mnie Pers wsadził do kancelaryi.

— Cóż więc powiesz o moim śnie?

— Powiem, że jest wieszczy.

— Nie potrzeba być mędrcem Eabani, żeby tyle powiedzieć.

— Poczekaj, namyślę się... Już wiem: małe źródło, to Hadassath — mała dziewczyna, która zostanie napewno królową. Tak, tak, nie inaczej, Hadassath będzie królową tych podłych Persów. Ciesz się, Marduka, hosanna!

— Choćby się spełniły twoje przepowiednie, nie cieszyłbym się, bo wolałbym oddać dziewczynę Aminadabowi.

— Ale — oburzył się Zammamanaddin—Achaszweros, chociaż nasz wróg, przecież więcej wart, niż Aminadab.

— Najuboższy Heber więcej ma znaczenia, niż wszyscy królowie pogańscy—zawołał Mardochai.

— Niech i tak będzie, ale jak Hadassath zostanie królową, to wszystkim Hebreom zaświta jasne słońce, jak to widziałeś we śnie.

Mardochai westchnął:

— Oby sprawił to Pan dla dobra swojego ludu wybranego.

— Oh! sprawi — zawołał Zammamanaddin—napewno sprawi! Co mu to zresztą szkodzi... Twoja Hadassath — królowa! Marduka, hosanna! Cieszmy się! Ale licha ucieczka, kiedy w gębie sucho. Poczekaj chwilę, ja zaraz przyniosę dzban wina.

I nie czekając zezwolenia swojego zwierzchnika, pobiegł.

Mardochai tymczasem chodził po izbie i myślał.

Był pewny, że Hadassath zostanie żoną Aminadaba, bo się oboje bardzo kochali i uważali się za

przyszłych małżonków. Przytem, jako prawy izraelita, wzdrygał się na samą myśl, że jego wnuki będą poganami, gdyby Hadassath dostała się do haremu. Zastanawiał się więc nad sposobami uratowania jej. Ale jak ją ukryć przed szpiegami królewskimi, przed którymi nic się nie ukryje. Zapewne wiedzą już o niej i donieśli Egejowi, który jest naczelnikiem eunuchów i przełożonym haremu. Bo że dziewczyna wpadła im w oko, jako piękność, nie ulegało żadnej wątpliwości; wszyscy bowiem podziwiają jej nadzwyczajną urodę. Nie widział więc żadnej nadziei uratowania Hadassath od haremu.

I to go bolało.

Przychodziło mu wprawdzie na myśl, że przepowiednie Zammanaddina mogą się spełnić. Kto to zresztą wie? Przecież jedna z tych dziewcząt najpiękniejszych, które mają być zwiezione do pałacu, ma zająć miejsce Wasthi. A któraż może równać się z Hadassath? Pan Bóg, powiadają, nie mógłby stworzyć piękniejszej od niej niewiasty. Dziewczyna jest tak uroczy, że on, Mardochai, jej stryj, nie może od niej oczu oderwać. Gdyby więc naprawdę została królową, gdyby choć na krótki czas opanowała serce królewskie, możnaby zrobić coś dla nieszczęśliwego narodu.

Chodził i myślał.

W rogu izby stał posąg bożka, umieszczony blizko drzwi, od których miał odpędzać złe duchy. Zrobiony był z czerwonego jaspisu; miał zaś tułów psa na orlich łapach, ręce z pazurami lisiemi, ogon skorpiona, dwie pary skrzydeł i głowę ludzką — do połowy odartą z ciała—z koźlemi rogami.

Tak był brzydki, że sam jego widok naprawdę zmuszał do ucieczki. Wyobrażał on demona wiatru *samum* [1]), którego ogniste tchnienie wypala zboże i sprowadza zabójcze febry na ludzi i zwierzęta.

Mardochai stanął przed nim i przypatrywał mu się uważnie. Ale wnet odwrócił się ze wstrętem.

— Miła osobistość — szepnął — biedny Zammamanaddin uważa ten brzydki kawałek kamienia za ducha opiekuńczego i wierzy, że oddala od jego domu zawistne moce, nieszczęścia! Ha! ha! ha!

Wtem brzęknęła mu nad uchem ogromna mucha, którą nazywano w Suzie marą śmierci. Zamyślony nie zauważył jej obecności, dopiero gdy go ukąsiła boleśnie, syknął z gniewem i uderzył się dłonią po szyi. Mucha zabita spadła na ziemię, brzęcząc, a Mardochai rozgniewany odwrócił się do demona, kopnął go nogą z takim zamachem, że biedny stróż domu Zammamanaddina wywinął koziołka i stanął na głowie w kącie izby.

— Odpędzasz, bałwanie, złe duchy, a muchy marnej odpędzić nie możesz. Piękny mi stróż.

I trąc zawzięcie miejsce ukąszone, zagłębił się w swoich myślach.

Zadyszany wpadł Zammamanaddin z dużym dzbanem wina.

— Patrz, Marduka—wołał — co tu napisane na tym dzbanie? Ja tego przeczytać nie mogę, a ten przeklęty Iddina kłamał mi, jak najęty.

Mardochai obejrzał napis i rzekł:

— Napisano tu jest w języku *Misraim* [1]) „rok dziewiętnasty — gwiazda Horusa", a tu dalej: „nefer, nefer", to jest „dobre wino".

---

[1]) Po egipsku.

— Hosanna, Marduka! — krzyknął Zammamanaddin—pijmy gwiazdę Horusa! Oby Hadassath twoja była gwiazdą Achaszwerosza! Oby świeciła mu jasno w jego życiu królewskiem, a nam biednym niewolnikom niech z jej światła spadnie choć maluczki promień nadziei!

Nalał czarki i zawołał:

— Do ciebie teściu pana naszego Achaszwerosza, króla królów, ciemiężcy Assura i innych ludów. Oby Allath była mu litościwą!

Wychylili czarki.

— Znakomite wino, Marduka, prawdziwie *nefer*, *nefer*. Hadassath warta gwiazdy Horusa, na Istar — warta!

— Hadassath więcej warta, niż wszystkie gwiazdy; ale cóż z tego, kiedy mi ją zabiorą.

— Niech zabierają, byleby tylko była gwiazdą na dworze królewskim, a ty abyś zajął miejsce dostojnego Charszny, lub nawet Hamana. Cieszmy się!

— Echach!—mruknął Mardochai.

— No, no! nie szydź z moich życzeń. Wołaj lepiej hosanna! A gdy oczy królewskie padną na ciebie, nie zapomnij o biednym Zammamanaddinie.

— Dobrze, dobrze — śmiał się Mardochai — nie zapomnę o tobie, niech tylko zostanę księciem na dworze.

— Oby Hadassath twoja była gwiazdą, a ty *nagirem* [1]), hosanna!

Ale wesołość Zammamanaddina nagle znikła. Zerwał się ze stołka, zbladł, oparł o ścianę i przestraszone oczy utkwił w kąt izby.

---

[1]) Naczelnik sztabu.

Mardochai patrzył na niego zdziwiony.

— Cóż ci się stało?— zapytał.

Ale Zammamanaddin milczał; usta mu drżały, a oczy utkwione były w kąt. Wreszcie zawołał:

— Co to jest?

— Gdzie?

— Patrz!

— Nic nie widzę.

— Bóstwo opiekuńcze wywrócone.

— Ah! wywrócone.

Zammamanaddin spojrzał piorunującym wzrokiem na Mardochai, zacisnął pięście i krzyknął:

— Kto je wywrócił?

Mardochai spostrzegł, że źle zrobił, znieważając boga, którego czcił jego przyjaciel. Zammamanaddin gotów mu tego nigdy nie darować. Prędko więc odpowiedział:

— Mucha.

— Mucha?

— Tak, patrz, jak mnie ukąsiła—rzekł Mardochai, pokazując na szyi czerwoną plamę. Zabiłem ją, oto leży.

— Biada mnie, biada! Złe duchy nawiedziły mój dom.

— Słuchaj, Zammamanaddinie, jeżeli ten bóg nie odstraszy od domu twego muchy, to jakże może odstraszyć potężne moce?

— Bo się wywrócił.

— Uspokój się o niego. Da on sobie radę, a ty napij się lepiej wina.

Nalał czarkę i podał Zammamanaddinowi, który wychylił ją duszkiem.

— Cóż? dobra gwiazda Horusa?

— Wyborna, ale nieszczęście mnie spotka, bóg leży w kącie.

— No, to ci go postawię.

Zbliżył się do bożka i postawił na dawnem miejscu.

Bądź teraz spokojny, harega, bóg stoi na straży. Ale dziwno mi, że ty przywiązujesz tyle znaczenia do tego kamiennego boga, którego mucha się nie lęka, a złe duchy miałyby od niego uciekać.

— Proszę cię, Marduku, nie ubliżaj moim bogom. Ja ich kocham, bo przypominają mi mój kraj. Nie mógłbym żyć z tobą w przyjaźni, gdybyś się z nich naśmiewał. Niech będą dla mnie tem, czem były dla moich przodków.

Ciemno już było, gdy Mardochai pożegnał Zammamanaddina.

W bramie wypuścił go znajomy żołnierz.

Na ulicach było pusto, gdzieniegdzie tylko snuły się pojedyńcze cienie...

W przedsionku spotkała go zapłakana Sara.

— Co ci się stało?—zapytał Mardochai.

— Nieszczęście, o panie!

— Niech Pan odwróci nieszczęście na pogan.

— Byli szpiedzy królewscy i obejrzeli Hadassath i powiedzieli, że ją zabiorą dla króla.

— Stało się—mruknął Mardochai.

— Co to będzie z Aminadabem, gdy wróci?

— Alboż to jemu tylko wyrwą ukochaną? Pisaliśmy rozkazy do wszystkich ziem, ażeby zwożono najpiękniejsze dziewice ze wszystkich zakątków królelestwa. I będzie ich dużo. Ale gorzej tym dziewczynom w domu króla, niż ich oblubieńcom, którzy je stracą.

— Źle będzie u króla?

— Nie inaczej. Będą one tam zamknięte, jak w więzieniu; będą tęskniły do matek, ojców, braci i sióstr... Szczęśliwa, która spodoba się królowi... Innych nędzne życie czeka.

— Biedna nasza Hadassath!

— Bóg będzie miał ją w opiece.

— Biedny Aminadab!

— Idź spać—zawołał zniecierpliwiony — narzekaniem nie odmienisz losu.

Poszedł do izby, gdzie spała Hadassath. Czerwonawe światło haneru oświetlało prześliczną twarzyczkę dziewczyny. Z otwartych ust wydobywał się cichy, równy oddech. Twarz różowa wsunęła się w pęk ciemnych, lśniących włosów; ręce opadły bezwładnie na poduszkach. Była tak piękna, że Mardochai długo się wpatrywał w nią z zachwytem, jakby zatrzymany na miejscu jakąś siłą tajemniczą.

Nareszcie odwrócił się i poszedł do swojej alkowy.

Tu w samotności boleść wezbrała w jego sercu. Ciosu takiego nie spodziewał się nigdy. Był prawie pewny, że Hadassath zostanie żoną Aminadaba, że będą żyli razem w spokoju przynajmniej rodzinnem i wedle zwyczajów swojej ojczyny i praw Mojżesza.

I jakiż los czeka tę ukochaną przez wsystkich dziewczynę? Życie pełne upokorzeń wśród pogan, wśród intryg, nienawiści, zazdrości, życie w strasznej niewoli, gdzie każdy kaprys podłego tyrana może ją strącić w przepaść nędzy, może z pokojów pałacowych sprowadzić do lochów więziennych lub na śmierć okrutną.

A ileż to najpiękniejszych dziewczyn podzieli jej los? Ileż kwiatów niewinnych zwiędnie pod tchnie-

niem zabójczych wyziewów życia haremowego? I to dla podłej rozkoszy tyrana rozpustnika!

Biedna Hadassath.

A chociażby została w miejsce Wasthi, to i tak los jej nieszczęśliwy. Jakkolwiek to król, jednakże poganin, nieprzyjaciel Boga, Zakonu Mojżeszowego i jego narodu. Przytem harem ma liczny, kaprysy jeszcze liczniejsze. Dziewczę może go zająć na czas krótki, a potem wzgardzi nią i zwróci się do innej.

Zresztą, co tu myśleć. Żadna moc nie zdoła temu przeszkodzić. Niech Jehowa ma dziewczynę w swojej opiece; za Jego to bezwątpienia sprawą tak się stało.

Ale co będzie, gdy powróci Aminadab? On się chyba zabije, albo co gorszego zrobi. Niechy już lepiej nie wracał, albo żeby był wcale nie wyjeżdżał, możeby się dało uratować talitę.

Długo nie mógł zasnąć Mardochai i słyszał, jak za ścianą Sara płakała.

XII.

Księżyc wzbił się wysoko ponad Suzą. Wiatr zimny dął od gór Medyjskich, pochylając gałęzie drzew, na których liście szeleściły złowrogo. Cisza zaległa na dachach i ulicach, bo ludzie pochowali się do wnętrza swych domostw, tylko wiatr szumiał w zaułkach i psy wyły w różnych stronach miasta.

Na ulicach pusto, od czasu do czasu tylko przesunie się „oko i ucho" królewskie, jak duch opiekuńczy, albo demon złowrogi.

I przy bramach czuwają straże.

W ogrodzie błądził Aminadab samotny. Twarz zmieniona, oczy pałające dziwnym blaskiem, włosy rozrzucone w nieładzie, szaty dziwacznie dobrane okazywały, jak bardzo odczuł stratę tality.

Cienie sykomorów pełzały fantastycznie po grządkach, dając ogrodowi jakiś widok zaczarowany. Nad wodami kryształowemi szemrały tajemniczo czarne cyprysy; jaśmin srebrnemi powiewał kwiatami, a lilie kiwały pięknemi główkami.

Aminadab wpatrywał się w tonie wód, pomarszczonych lśniącą łuszczką, w której huśtał się księżyc, lub ześlizgiwał się po drobniutkiej fali.

— Adonai! — szepnął — zmiłuj się nademną! O, zmiłuj się według wielkiego miłosierdzia Swego... Niema zdrowia w ciele mojem, niema pokoju kościom moim... Znędzniałem, skurczyłem się, jestem strapiony i bardzo uniżony... Ryczałem od bólu serca mojego...

Załamał ręce, jęknął głośno i skarżył się dalej:

— Panie, przed Tobą wszelka żądza moja!.. wzdychanie moje przed Tobą nie jest skryte... Serce moje strwożone jest, opuściła mnie siła moja... Radości oczu moich nie masz przy mnie... Hadassath, Hadassath moja, zgubiona... O nią jednę proszę Cię, Boże mój, abym ją miał po wszystkie dni żywota mojego.

— Elohim!... Elohim! wejrzyj na uniżenie moje i na boleść moją. Stało się serce moje, jako wosk topniejący. Adonai, Adonai! miej litość nademną!

Wiatr przycichł na chwilę, jakby zasłuchany w te jęki modlitwy, ale niebawem wionął gwałtownie,

zaszumiał wierzchołkami drzew, poruszył liśćmi, uderzył gałęźmi o gałęzie, wpadł między czarne cyprysy i przyniósł od cmentarza smutny płacz szakala.

Aminadab zmarszczył brwi, spojrzał w górę, zgrzytnął zębami i zawołał:

— Gdzie dusza moja? Oddajcie mi ją, wy, poganie przeklęci. Bóg mi ją dał, tę gołąbkę, tę owieczkę, to życie moje. Zabraliście mi ją, psy!

I stanęła przed oczyma jego taka piękna, taka niewinna, jak ją widział przed odjazdem.

Łzy popłynęły mu z oczu.

Jęczał:

— Gdzie się obrócę? Kogo o pomoc błagać będę? Jam jest robak, a nie człowiek. Którzy mnie widzieli, naśmiewali się ze mnie, a niema, ktoby mnie ratował. O, wiem, co uczynię. Pójdę do niej, żebrać będę, a dusza moja będzie żyła.

Przyłożył dłoń do rozpalonego czoła i wlepił oczy w księżyc, który spoglądał nań z wysoka — zimny, obojętny, jak marmurowy posąg Anahity. I przyszło mu na myśl, że ten księżyc może patrzy równie obojętnie na nią w tej chwili, i zaczął rozmowę z księżycem:

— Księżycu, widzisz ją? widzisz tę małą moją ptaszynę? Patrzysz w jej okienko? Ach, jakiś ty szczęśliwy, jakże ci zazdroszczę! Czemu nie mogę wznieść się tak wysoko, czemu nie mogę objąć jej wzrokiem, napawać się nią, tą małą gołąbką? Któraż bo gwiazdka piękniejsza od niej? Cóż milszego stworzył Bóg od mojej gołąbki? Oh, za nią jednę oddałbym świat cały!

— Oddajcie mi ją, oddajcie to miłe dziecko, to rozkoszne stworzenie, tę najśliczniejszą gwiazdkę!

Opuścił głowę, przymknął powieki; siły zaczęły

go opuszczać; chwiał się od wiatru, jak trzcina nad stawem.

Jęknął cicho:

— Gdzieżeś, ach, gdzieżeś, gołąbko moja, jedyna moja, życie moje? O, tam, w gronie pogan, na łonie twego wroga, co zgubił twój naród i depce jego uczucia!

Jęk bolesny, straszny, dreszczem przejmujący wyrwał się z piersi Aminadaba. Myśl, że jego Hadassath dzieli pieszczoty z poganami, była tak straszną, sprawiała mu taki ból, że owładnęło nim szaleństwo.

Oparł się o drzewo, ażeby nie upaść.

Tymczasem silny podmuch wiatru poruszył gwałtownie wierzchołkami drzew, jęknął nad głową Aminadaba i zasłonił oblicze księżyca czarną chmurą.

Przy końcu alei zarysowała się biała postać. Stała w miejscu, a jednak była w ruchu.

— Hadassath! — szepnął Aminadab rozgorączkowany i zaczął biedz ku niej.

Lecz wiatr popędził dalej chmurę, księżyc wyjrzał z za jej rąbka i postać zniknęła.

Aminadab stanął. Drżał od zimna, choć twarz miał rozpaloną.

— Widziałem ją—szepnął—widziałem... Pierzchła mi z oczu... Czemu się skryła? Gdzieżeś się schroniła, że cię znaleźć nie mogę?

Wyciągnął ręce przed siebie, wsłuchiwał się w szum drzew i dalekie szczekanie psów i płacz szakali.

— Ach, jakże mi tęskno, jak smutno bez ciebie, najmilsza! Jakże pragnę cię widzieć! Pustka dokoła, bo ciebie niema. Pójdź do mnie, pójdź, najmilsza, nie ukrywaj się!

Znów chmura przesłoniła światło księżyca.

Aminadab rozszerzonemi źrenicami wpatrywał się w miejsce, gdzie pokazała się postać. Powoli zaczęła się wynurzać z ciemnej przestrzeni, z początku wiotka, mglista, jakby z białej chmury utkana, potem przybrała kształty wyraźniejsze; stanęła w końcu alei na tle zielonych liści bluszczu w białej szacie, z rozwianemi włosami.

Serce zabiło mu gwałtownie; krew uderzyła do głowy, był blizki omdlenia. Wyciągnął ręce do niej i wyszeptał:

— *Hadassath, talitai, kumi!* [1])

Zjawisko znikło.

— Adonai!... o, Adonai! Czemuż odwracasz rękę swoją i prawicę swoją z pośrodka zanadrza swego? Niech przyjdzie przed oblicznośc twoją jęk mój i nędza moja. Bo jako ogień, który pali las, i jako płomień, który pali góry, taką jest boleść moja.

— *Hadassath, habath, hamszokakuh, ba!* [2])

Biała postać mignęła wśród drzew; Aminadab upadł z jękiem na ziemię.

Drzewa, księżyc zniknęły mu z przed oczu. Widział tylko szarą otchłań, która wirowała z nim szalenie i ciemniała coraz bardziej, aż w końcu wszystko zniknęło...

Gdy otworzył oczy, księżyc patrzył na niego, spokojny, blady, zimny, obojętny. Ciepła dłoń trzymała jego głowę, a jakieś oczy pod rozwianemi włosami świeciły jak dwa rozżarzone węgle; czuł przy sobie szaty niewieście. Przymknął powieki i westchnął... Owionął go ciepły oddech i gorące krople

---

[1]) Hadasso, dziewczyno moja, stań!

[2]) Hadasso, córko pożądana, chodź!

zaczęły spadać mu na twarz i usta czyjeś spoczęły na jego ustach i zdawało mu się, że w tej chwili leci gdzieś w dalekie przestrzenie do tego obojętnego księżyca, do tych gwiazd mrugających...

Potem wpadł w czarną czeluść przepaści i wszystko zniknęło...

Gdy otworzył znów oczy, był już dzień.

Leżał na łożu w swojej izbie. Przy nim siedzieli Mardochai i Zammamaddin.

— Nic mu nie będzie, Mardochai—mówił Zammamanaddin. — Jest w Suzie lekarz z kraju Assura; on mu zdrowie przywróci.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście nawiedziło mój dom—szeptał Mardochai.—Hadassath zabrali mi poganie, Aminadaba opętał zły duch i zostałem samotny...

— Powiadam ci, Marduka, że mu nic nie będzie.

— Myślałem, że może dłużej zabawi w podróży, że zapomni o niej, a on gdy wrócił i jej nie zastał wpadł w szaleństwo, rwał włosy, biegał, krzyczał, jak opętany. Musiałem pozamykać drzwi, żeby nie pobiegł do pałacu. Zgubiłby nas wszystkich. Chodzi odtąd po całych nocach po ogrodzie, rozmawia sam z sobą, a nad ranem często zasypia na ziemi. Zginie mi.

Zammamanaddin wstał, przeszedł się po izbie, trąc czoło, jakby szukał w niem rady dla nieszczęśliwego. Ale nic wymyśleć nie mógł. Wreszcie rzekł już dziesiąty raz:

— Nic mu nie będzie. Rozkaż tylko przywołać lekarza, o którym ci mówiłem.

— Niech przyjdzie — rzekł Mardochai — ale na jego chorobę niema lekarstwa.

— Jest—szepnął Aminadab.

— Słyszysz?

— Słyszę.

— I powiadasz, że jest lekarstwo, któreby ci powróciło zdrowie?

— Jest.

— Mówże prędko, jakie?

— Oddajcie mi prędko Hadassath, a zaraz zdrów będę.

— Ba! — zawołał Zammamanaddin — łatwo to powiedzieć, ale jakże ci ją oddać, kiedy ją król zabrał...

— Niech go piekło pochłonie.

— Niech Allath uciśnie — dodał Zammamanaddin. — Ja to zawsze powtarzam. Ale cóż mi z tego. Allath z uściskami nie śpieszy się, a on żyje i robi, co mu się podoba.

— Bóg go ukarze!

— Być może, jednak na teraz niech cię leczy lekarz asyryjski, bo innej rady niema.

— Dobrze—niech przyjdzie.

— Zaraz przyjdzie, posłałem po niego, to mądry człowiek, tylko musisz być mu posłuszny.

Nadszedł lekarz.

Był to starzec bardzo niemiłej powierzchowności. Chudy, kościsty, z pożółkłą twarzą, okrytą rzadkiemi, ale długiemi włosami na brodzie i nad górną wargą, pod którą widniały żółte, wielkie zęby. Na głowie piętrzyły się gęste siwe włosy, niby pęk grochowin, lub skłębiona wełna. Brwi krzaczaste, jak wiechcie, ocieniały małe, błyszczące oczy.

Zamiast ubrania miał przewieszoną przez ramię skórę kosmatą, spiętą na lewem ramieniu i spodnicę do kolan, obszytą frendzlami; szyję zdobiły rozmaite amulety: muszle, rogi, posążki bogów i t. p.

Na głowie dźwigał tłomok z książkami, ziołami

i innemi do leczenia w owych czasach potrzebnem rzeczami.

Aminadab patrzył nań ze strachem i zdziwieniem. Nie był to typ prawdziwie asyryjski. Było coś wstrętnego w tym człowieku.

— Jeżeli to prawda—szepnął do Mardochai—że dyabeł mnie opętał, jak mówisz, abbi, to nie mógł Zammamaddin wynaleźć lepszego lekarza, bo dyabeł napewno na sam jego widok ucieknie.

— Nie lękaj się go—rzekł Zammamanaddin—on ci nic złego nie zrobi. Bądź mu posłuszny, a on wypędzi chorobę z członków twoich.

— A co on będzie ze mną robił?

— Będzie cię leczył.

— A jak?

— Zobaczysz, nie bój się.

— Niech zaczyna, nie boję się.

Lekarz obejrzał pilnie Aminadaba, zajrzał mu w oczy, patrzył długo na twarz, kazał opowiadać sobie początek choroby i długo myślał. Wreszcie rzekł:

— Młodzieńcze, skrzywdziłeś człowieka, a on mści się teraz. Urzekł cię i strawi twe wnętrzności ogniem powolnym.

Aminadab spojrzał zdziwiony na Mardochai.

— Abbi, mówiłeś mu o mojej chorobie?

— Żywie Bóg, nie mówiłem — odrzekł Mardochai.

Aminadab spojrzał na Zammamanaddina.

— Na Bilit Niniwską, nie mówiłem — odrzekł tenże.

— A zkąd on wie o urzeczeniu, przecież nie mówiłem o przyczynie choroby.

— Od tego lekarz, ażeby wiedział, zkąd choro

ba bierze początek—mówił tryumfująco Zammamanaddin.—Inaczej jakżeby mógł leczyć?

Aminadab był niezmiernie zdziwiony. Przypomniał bowiem sobie, że zrobił krzywdę Hadassath w pustyni, a ona go później urzekła i teraz pali ogniem, iż niema spokoju ni we dnie, ni w nocy.

— Prawdę powiedziałeś, człowieku, pali mnie ogień, gorzej, niż *kwadim* pali zioła i trawy, ale powiedzże mi, jak się zowie ten nieprzyjaciel, który mnie tak męczy?

— Imienia jego wyjawić ci nie mogę, bo to niepotrzebne do leczenia, a nawet ci nie powiadam, ażeby miał być twoim wrogiem. Wiem tylko, że cię urzekł, a urok ten prześladować cię będzie bez chwili odpoczynku, bez wytchnienia i w końcu cię zabije...

— Zabije mnie?—zawołał Aminadab.—Wszystko mi zresztą jedno. Szkoda tylko, żem się nie pomścił na Persach.

— Ale ja cię uleczę.

— Uleczysz mnie? Jakoż się to stać może, skoro mnie urok zabije?

— Wypędzę urok z członków twoich.

— Jakim sposobem?

— Wezwę wszechmocnego Ea, który jest bóg najwyższy, i Merodacha.

Aminadab bystro spojrzał na niego, a potem zwrócił się do Mardochai i rzekł:

— Ależ to czarownik, abbi.

— Może i czarownik, ale pogański.

— Cóż z tego, że pogański?

— Bądź mu powolnym, benni. Nas to nic nie obchodzi, czy on czarownik, byleby cię tylko wyleczył. Wezwaliśmy przecie lekarza, nie czarownika.

— Jednakże nie chciałbym przestąpić zakonu

mych ojców. Powiedz mi, abbi, co napisano w Piśmie o tych, którzy udają się do czarowników.

— Na cóż ci to?

— Powiedz mi, proszę cię, abbi.

— Dusza, którąby się skłoniła do czarowników i wieszczków i przystałaby do nich, postawię twarz moję przeciw niej i wygładzę ją z pośród ludu jej [1]).

— Tak napisano?

— Tak.

— Ostro, abbi, boję się kary Bożej.

— Ależ to nie czarownik, tylko lekarz — krzyknął Zammamanaddin.—Ty nie dbaj o to, jak cię będzie leczył, byleś był zdrów...

— Niech więc leczy, choć jestem pewny, że nic mi nie pomoże.

Lekarz rozłożył na podłodze stos roślin pachnących i zapalił je ogniem świętym.

Buchnął jasny płomień prawie bez dymu.

Podał następnie Aminadabowi wodę, aby umył ręce, nogi i twarz, potem skropił go wodą pachnącą, rozesłał dywan przed ogniskiem i kazał Aminadabowi, aby stanął na nim.

Gdy chory umieścił się już na dywanie, czarownik usiadł naprzeciw niego na macie; nogi skrzyżował przed siebie i wyciągnąwszy ręce, wrzucił do ognia kawałek czosnku i wyrzekł zaklęcie:

— Jako ten ząbek czosnku, rzucony na ogień, pochłonął płomień palący i nie będzie on już zasadzony w ogrodzie, nie będzie pływał po wodzie, w stawie lub w ścieku, korzenie jego nie wrosują w ziemię, łodyga nie wybuja w górę i nie zobaczy nigdy słoń-

---

[1]) Lew. 20, 6.

ca, nie stanie się pożywieniem bogów, ani króla, niech tak Merodach, wódz bogów, wypędzi czary z Aminadaba i rozwiąże pęta choroby, która go pożera, pęta grzechu, winy, oskarżenia, występku.

— Słyszałeś, młodzieńcze?

— Słyszałem — rzecze zamyślony o Hadassath i nocnem zjawisku Aminadab.

— Mów teraz za mną.

— Dobrze, będę mówił.

— Choroba, która siedzi w mojem ciele, w moich mięśniach, niech będzie zdjęta, jako ten zapach czosnku, niechaj ją pochłonie pożerający płomień, niech wyjdą ze mnie czary, ażebym mógł jeszcze oglądać światło...

Lekarz wziął daktyl, rozciął na drobne kawałki, rzucił do ognia i śpiewnym głosem wyrecytował:

— Jako ten daktyl, rozcięty na kawałki i rzucony w ogień, pochłonął ogień płonący i ten, kto zerwał owoc, nie przyczepi go napowrót do gałązki, i nie będzie on już pokarmem dla bogów i króla, tak niech Merodach, wódz bogów, odpędzi czary od Aminadaba i rozerwie pęta pożerającej go choroby, grzechu, winy, skażenia, występku.

— Słyszałeś, młodzieńcze?

— Mam przecie uszy—odparł rozdrażniony Aminadab.

— Mów więc za mną.

— Będę mówił.

— Choroba, która siedzi w mojem ciele, w moich mięśniach, niech będzie rozerwana, jako ten daktyl, niechaj pochłonie ją pożerający ogień, niech wyjdą ze mnie czary, ażebym długo jeszcze mógł oglądać światło...

Aminadab zaczął się niecierpliwić. Spostrzegł, że ten sposób leczenia na nic mu się nie przyda. Gdy

więc lekarz wziął zieloną gałązkę wierzbiny i zamierzał w dalszym ciągu powtarzać zaklęcia, zawołał z gniewem:

— Długo jeszcze będzie trwało takie leczenie?

— Bądź cierpliwy, młodzieńcze, choroba mocno się zakorzeniła. niełatwo ustąpi.

— Ona wcale nie ustąpi!

— Ea, Merodach i bóg ognia sprawią, iż będziesz zdrów, młodzieńcze!

— Daj mi Hadassath, poganinie, a choroba zaraz ustąpi.

— Nie mam tego, a więc dać ci nie mogę.

— Nie możesz mi dać Hadassath? A więc po co przyszedłeś? Wynoś mi się z twymi bogami przeklętymi, którzy tyle mi pomogą, co ryk osła na drodze.

— Bóg Merodach jest potężny — zauważył czarodziej.

— Głupi jako i ty!—krzyknął rozgniewany Aminadab i plunął w święty ogień.

— Coś uczynił, Aminadabie? — zawołał Zammamanaddin, chwytając się za głowę.

Tymczasem czarodziej zerwał się na nogi i grożąc chłopcu pięścią, wołał:

— Bóstwo znieważone! Zemsta nad tobą, bezbożny!

Aminadab chciał zamknąć mu usta pięścią, ale Mardochai wciągnął go na łoże.

— Uspokój się, benni! — mówił — chcieliśmy ci ulżyć w cierpieniu, cóżeśmy winni, że król zabrał Hadassath? Przecież jej dobrowolnie nie oddaliśmy.

Potem zwrócił się do Asyryjczyków:

— Darujcie, przyjaciele, on ma gorączkę, on

nie wie, co robi. Wybacz, Zammamanaddinie, jego popędliwość, widzisz, że on chory.

Wsunął lekarzowi spory mieszek złota; ten się uśmiechnął, skłonił nizko i rzekł:

— Mam ci ja inne jeszcze środki na odpędzenie czarów, ale widzę, że moje leki nie pomogą temu młodzieńcowi; zawołajcie czarownicę, ona może da mu co skuteczniejszego.

— Mądrześ powiedział—odezwał się Aminadab— dziękuję ci zato, tak, tylko czarownica i to ta sama, która mnie uroczyła, może mnie uzdrowić. Przyślij mi ją, a obsypię cię złotem.

— Młodzieńcze! — zawołał lekarz — czar jednej czarownicy prędko przeminie, gdy inna nanowo oczaruje. Bądź jednak mądrym i nie pozwalaj się poddawać urokom pięknych oczu, bo to okazuje słabość męża i wiedz, że nie ty jeden opłakujesz w państwie Achaszwerosza stratę ukochanej.

Ukłonił się do ziemi i wyszedł. Za nim podążył Zammamanaddin.

— Źle zrobiłeś, synu! — rzekł Mardochai do Aminadaba, gdy zostali sami — że plułeś w ogień święty. Czarodziej mógłby rozgłosić o tem po mieście, a wówczas mazdajaznowie mogliby cię zabić.

— Niech zabiją! Wszystko mi teraz jedno. Cóż mi po życiu bez Hadassath? Wolę umrzeć.

— Bądź mężny, a boleść twoja niech pod tobą będzie. Nie myślałem, że utrata tej dziewczyny złamie cię, jak trzcinę. Gdzie twoje zapewnienia? gdzie płomień zemsty przeciw poganom? Czyż ojczyzna nie więcej warta, niż Hadassath? A gdzie ją masz? Zabrał ją poganin wtenczas, gdyś zaczynał kosztować słodyczy życia na jej łonie, a nie zabiłeś się! Takiż to z ciebie sługa swego narodu?

— Mądre słowa płyną z ust twoich, abbi, lecz

cóżem winien, że boleść mnie złamała. Wstydzę się jej, ale podnieść się nie mogę.

— Nie poddawaj się boleści. Poczekaj, przyniosę księgę Hioba i będę ci czytał o jego boleści.

— Jakaż ztąd dla mnie pociecha?

— Zobaczysz, jak cierpiał Hiob i jak znosił cierpienia.

— Nic mi nie pomogą wszystkie Hioby.

— Hiob był jeden tylko.

— Jeden? O, abbi! Małoż to Hiobów na świecie? A jam to nie Hiob? A jaż to nie cierpię?

— Czemże są twoje cierpienia wobec cierpień Hioba, który stracił dzieci, majątek, zdrowie?...

— Hadassath więcej warta, niż to wszystko.

— Nie kuś pana, boś stracił dziewczynę, którą może zastąpić ci inna, a Hiob stracił wszystkie dzieci, które już nie zmartwychwstały.

— A jak stracił?

— Wiesz przecie, że poumierały jednego dnia.

— Więc poszły na łono Abrahama?

— Nie inaczej.

— Jakaż to więc strata? Jażbym się cieszył, gdyby Hadassath poszła na łono Abrahama, ale nie mogę znieść, gdy wspomnę, że ona jest na łonie psa pogańskiego.

— Cicho bądź. To przecie król.

— Niech go piekło pochłonie z całem jego królestwem.

— Angromania cię opętała.

— Co? Angromania? I ty, abbi, wierzysz w to bydlę pogańskie?

— Wierzę. Czemuż nie mam wierzyć?

— Zaparłeś się wiary ojców?

— Zkąd ci to znów przyszło?

— A Angromania?

— Angromania taki dobry, jak nasz szatan.

Niewolnik wszedł i dał znać, że jakiś pisarz królewski wzywa Mardochai do sekretarza.

Aminadab został sam.

Myśli jego były ponure.

Na wspomnienie, że Hadassath może być w tej chwili w objęciach poganina, dostawał wprost szaleństwa; rzucał się na łożu, gryzł palce i ryczał, jak żubr raniony. Miał prawdziwą chęć umrzeć. Ale stanęła mu w myśli ta wiotka postać, którą widział w paradejzos. Że nie była to Hadasath, wiedział o tem z pewnością, bo Athach, rzezaniec, zaufany jej, codziennie zdawał Mardochai o niej sprawozdanie, wiedział więc, że nie wychodzi z pałacu. Ale kto to mógł być?

— Może anioł Jehowy czuwa nademną—myślał—abym nie oszalał z bólu; ale w takim razie anioł byłby bardzo miłą osobistością. Szkoda tylko, że się chowa, byłoby lepiej, gdyby mnie nigdy nie odstępował. Było mi bardzo przyjemnie w jego objęciach.

Nad głową jego pająk snuł pajęczynę. Przyglądał mu się ciekawie. Pająk biegał po cienkich nitkach i tkał misterną siatkę. Potem schował się w kącie. Niebawem nadleciała nieoględna mucha, uderzyła o pajęczynę i zaplątała w niej nogi. Brzęcząc żałośnie, szamotała się rozpaczliwie, ale przybiegł pająk, chwycił ją długiemi nogami i, nie zważając na bolesne rzężenie, spokojnie wypijał z niej krew.

— Nędzny ten świat—szepnął Aminadab—jedni dybią na zgubę innych, każdy ma swego pająka, co krew z niego wypija, każdy ma swoje nieszczęście, a jak podli są ludzie!

Płynęły dni, a w stanie zdrowia Aminadaba nie było zmiany. Stawał się coraz bardziej ponury, nie-

cierpliwy. Noce spędzał bezsennie; błąkał się między drzewami po paradejzos, wyglądał owej białej postaci, która mu się jeszcze parę razy ukazała, ale nie mógł się do niej zbliżyć.

Mardochai niepokoił się bardzo. Sprowadzał różnych lekarzy, ale to nie pomagało.

Aminadab wychudł zupełnie; podobny był do szkieletu.

Pewnego dnia zgłosiła się czarownica i zapewniła, że posiada skuteczne lekarstwo na taką właśnie chorobę.

Mardochai przyjął ją z radością.

Była cała ubrana czarno. Na głowie miała zawój czarny, z którego spływała zasłona aż na piersi. Nie widać więc było jej twarzy.

Zbliżyła się do chorego, który po nocnej włóczędze dostał gorączki i był tego dnia bardzo nieznośny.

— Młodzieńcze — rzekła — chcesz być uzdrowiony?

Aminadab przyglądał się jej pilnie, choć nie było na co patrzeć, bo oprócz szat czarnych, nic zobaczyć nie mógł.

— Ba—odrzekł—komuż zdrowie nie miłe; ale ty mnie nie uleczysz, bo nie dasz mi tego, czego mi potrzeba.

— Młodzieńcze, potrzeba ci serca, któreby cię kochało, a to ci dać mogę.

— Dasz mi Hadassath?

— Dam ci więcej, bo dam serce, które się od ciebie nie odwróci i które potrafi zagoić ranę, która ci dolega.

— To żadne lekarstwo.

— Kochałeś ją bardzo?

— Lepiej niż swą duszę.

— Przeklinasz tego, co ci ją zabrał?

— Życzę mu wszystkich nieszczęść.

— Zapomnij o niej!

— Idź precz, przeklęta, niech zginą twoje słowa!

— Nie gniewaj się.

— Miałbym zapomnieć o niej? Prędzej zapomnę o swej prawicy, prędzej do grobu zstąpię, niż wypuszczę ją z swej pamięci. Ona jest w krwi i kościach moich!

Czarownica usiadła i ujęła go za rękę.

— Słuchaj, młodzieńcze! Nie sam straciłeś ukochaną. Wielu oblubieńców okryło się żałobą, ale żaden nie posunął się tak daleko w rozpaczy, jak ty. Oni jednak cierpią niewinnie, a ty zasłużyłeś na to.

Aminadab wlepił w nią wzrok pełen zdziwienia.

— Jam zasłużył?

— Nie inaczej.

— Cóż złego uczyniłem?

— Ukradłeś ją podstępem kupcowi, który za nią drogo zapłacił. Nie była więc twoją i twoją nigdy nie będzie.

— Zkąd to wiesz?

— Słuchaj dalej. Przez ciebie cierpi więcej, niż ty, pewna dziewczyna nieszczęśliwa, od której uciekłeś. Chciała ona być twoją niewolnicą, chciała umywać nogi twoje, chciała ci służyć wiernie, a ty wzgardziłeś nią. Zatykałeś uszy, gdy cię wołała, zamykałeś oczy, gdy płakała, nie miałeś litości nad jej nędzą; słusznie więc ukarał cię Bóg tą samą boleścią, jaką jej zadałeś...

Aminadab zakrył oczy ręką, a czarownica po małej chwili milczenia mówiła:

— Wspomnij sobie to dziewczę z gór Aramejskich, które oczy wypłakało; niech stanie ci przed oczy jej twarz zapadła, którą widziałeś w Karkemiszu; odczuj sercem straszne jej dni, w których słońce jej nie świeci, i noce, w których sen nie krzepi, i nie narzekaj na swoje nieszczęście.

— Zkąd ty wiesz o tem? — szepnął drżącym głosem.

— Nie pytaj, zkąd wiem, ale pytaj o nią, a wszystko ci powiem. Ach, żebyś wiedział, jak ona cierpi, żebyś słyszał, jak ona jęczy, żebyś widział, jak ona łzy leje! Czemże wobec tego twoje nieszczęście? Dzielisz losy tylu ci podobnych; rozpacz nieszczęścia nie oddali; coś stracił, nie odzyskasz; tej, której pożądasz już nie ujrzysz. Takie są wyroki bogów.

— Przestań już! Męcz mnie, jeśli możesz, ale powstrzymaj swe słowa.

Czarownica wstała, przyłożyła mu wełny do skroni z prawej i z lewej strony; zawiązała na sznurze węzeł po siedem razy w dwóch odstępach i tym sznurem opasała mu głowę; potem wzięła drugi sznur i, powiązawszy węzły, opasała mu szyję, ręce i nogi, oblała go wodą cudowną i zaczęła mruczeć zaklęcia.

— Czemu mnie tak krępujesz powrozami?

— Trzeba zatrzymać duszę, żeby nie uciekła, gdy zaczniesz rozpaczać.

— Jeżeli ucieknie, to do Hadassath, a tegobym pragnął.

— Zapomnij o niej!

— Nie mogę.

— O, nierozumny młodzieńcze! Zdrowie stracisz, a jej nie odzyskasz. Czemuż nie chcesz wygoić swej rany miłością tej, która życie za ciebie odda?

— Mówisz o Sarwii?

— Mówię o tej dziewczynie, która umrze przez ciebie.

— Sarwia jest dobrą dziewczyną, to prawda, ale ona daleko, bardzo daleko odemnie i służy swym bogom.

— Chciałbyś mieć ją przy sobie?

— Ona jedna tylko może zastąpić mi Hadassath, ale jej już nie zobaczę.

— Stara Dayas inaczej mówiła...

— Znasz tę starą wróżkę?

— Umarła już.

— Umarła? Ona kochała bardzo Sarwię i pocieszała wróżeniem szczęśliwej przyszłości.

Czarownica odeszła, życząc Aminadabowi powrotu do zdrowia i pamięci o biednej Sarwii.

Aminadab spełniał drugą część życzeń i coraz bardziej żałował, że nie ma w Suzie Sarwii.

XIII.

Hadassath nie czuła się szczęśliwą pod dachem władcy stu dwudziestu prowincyi.

Umieszczono ją w pierwszym haremie, położonym w południowej części anderunu [1]).

Mieszkanie miała świetne.

Szeroka sień, rodzaj przedpokoju, prowadziła do sali, w której nie było sufitu, ani sklepienia, ale połowa była pod otwartem niebem, drugą połowę przykrywała duża półkopuła. Z sali prowadziły marmurowe ze złotemi poręczami schody, o jedenastu stopniach, na taras na dachu i do kopuły.

Za salą był pokój sypialny.

Podłoga, wyłożona taflami kamiennemi, gładko polerowanemi, zasłana była przepysznemi dywanami. Ściany, biało tynkowane, obwieszono makatami purpurowemi.

W sali stały nizkie stoliki na jednej nóżce, taburety, miękkie fotele, rozstawione ze smakiem, a w sypialni wysokie łóżko drewniane z materacem, pokrytym kapą.

Siedem dziewic dano jej do usług, a Athach rzezaniec miał pieczę, by jej na niczem nie zbywało.

Atoli ani szaty wspaniałe, ani nadskakiwanie służby, ani zaspakajanie wszelkich zachcianek nie mogły jej uszczęśliwić. Stokroć milszym jej był dom Aminadaba i bez porównania szczęśliwsze życie z nim i ukochanym Mardochai, Tęskniła też do nich całą potęgą swej duszy, radaby wymknąć się do nich choć na chwilkę; lała łzy na wspomnienie, że ten jej Aminadab podróżuje po dalekich krajach i ani się domyśla, iż jej już nie zobaczy.

Już parę dni była Hadassath w haremie, gdy pewnego razu wszedł do niej Athach, rzezaniec i rzekł:

---

[6]) Anderun, część pałaców, gdzie mieścił się harem.

— Jego dostojność Mardochai, szef oddziału syryjskiego, pyta cię o zdrowie, dostojna pani.

— A gdzie on? — zawołała uradowana.

— Stoi przed sienią.

Hadassath skoczyła do drzwi, aby pobiedz i rzucić się w objęcia drogiego opiekuna; ale rzezaniec zastąpił jej drogę.

— Pani — rzekł — śmierciąbyś umarła, gdybyś ztąd wyszła.

— To mój opiekun! — zawołała.

— Nie wyjdziesz ztąd, dopóki najmiłościwszy nasz król nie rozkaże.

Hadassath stała zgnębiona. Czuła teraz całą grozę życia niewolniczego. Jakże zazdrościła w tej chwili niewolnicom Aminadaba, które swobodnie chodziły po mieście. A jej nie wolno się widzieć z własnym stryjem, który zatęsknił do niej i przyszedł zapytać o zdrowie.

Nagle porwał ją gniew. Przystąpiła do eunucha i zawołała:

— Jak ci imię?

— Athach.

— Jesteś moim sługą?

— Tak, pani, jestem najwierniejszym twoim sługą; gotów jestem wszystko dla ciebie uczynić, ale wypuścić cię nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo jestem twoim stróżem.

— Ty mnie strzeżesz?

— Hegac, dozorca haremu, rzekł mi: Athachu, służ jej, jako królowej i pilnuj, jak źrenicy w głowie. A jego rozkazy równają się rozkazom najmiłościwszego pana naszego, Achaszwerosza.

Hadassath oddychała ciężko, tłumiąc płacz, którym miała wielką chęć wybuchnąć.

Ale zapanowała nad sobą. Uśmiechnęła się do niewolnika i rzekła łagodnie:

— Jeżeli, jak powiadasz, wyjść mi nie wolno, to przyprowadź tu Mardochai!

— O, pani — rzekł Athach — i tego uczynić nie mogę. Nigdy jeszcze mężczyzna obcy nie przekroczył progów anderunu.

— To mój stryj! — zawołała Hadassath; ale zaraz przeraziła się tem wyznaniem. Mardochai bowiem, aby oszczędzić jej upokorzenia wobec dziewic perskich i medyjskich, zalecił, aby zataiła swe żydowskie pochodzenie.

Spojrzała w oczy rzezańcowi, jakby chciała wyczytać w nich, jakie wrażenie zrobiło na niem to wyznanie, a widząc jego obojętność, rzekła:

— Athachu! nie wyjawiaj tego nikomu.

— Nie wyjawię tego, o pani!

— Bądź mi wiernym i życzliwym, a ja ci wdzięczną będę.

— Oby Aburamazda dał ci wszystko dobre. o pani!

— Idź więc do Mardochai i zanieś mu pozdrowienie moje!

— Pójdę choćby na dno piekła, o pani!

Athach wyszedł, a Hadassath, zalana łzami, modliła się gorąco w swej sypialni.

I odtąd zaczęła uważać swoje położenie, które było prawdziwą niewolą, jako karę Bożą za urodę, z której niekiedy była wielce dumną. I myślała sobie, że gdyby nie była tak urodziwą, nie cierpiałaby tego zamknięcia, nie byłaby strzeżoną, nie potrzebowałaby przestawać w towarzystwie płochych dziewcząt pogańskich. Uroda ją zgubiła. To też gardziła nią i prosiła Boga, aby zesłał na nią chorobę jaką, któraby ją oszpeciła.

Tymczasem towarzyszki jej uważały się za nader szczęśliwe. Całe dnie spędzały na zabawach i pielęgnowaniu ciała. Wonne olejki i przeróżne drogie maście z dnia na dzień podnosiły uroki ich wdzięków.

Hadassath stroniła od nich. Po za obowiązkowemi wspólnemi żebraniami na posiłek lub niektóre zabawy zamykała się w gronie swych dziewczyn. Zdaleka więc była od intryg i swawoli, nie mających nic wspólnego ze skromnością dziewiczą.

Mardochai przysyłał jej wskazówki i upomnienia, a ona wśród gwaru życia dworskiego żyła z nim i ze swoimi w ściślejszym związku, niż przedtem.

W takich warunkach umysł jej rozwijał się prędko i przyśpieszył dojrzałość cielesną.

Nie była to już ta mała, naiwna Hadassath, która radowała oczy patrzących na nią, ale była dziewica, której każdy dzień przynosił nowy wdzięk, nowe powaby; był to wspaniały kwiat, który czarował i wzbudzał uwielbienie, a który jeszcze nie zajaśniał w całej wspaniałości.

Pewnego wieczoru, gdy gwar ucichł, a dziewczęta ułożyły się do snu, wyszła pocichu na dach pod kopułę.

Księżyc patrzył na nią z wysoka i ona patrzyła na niego.

Było cicho, spokojnie. Z odległych części ogrodów dolatywały ryki lwów, płacze szakali i różne głosy innych zwierząt. Bliżej między grządkami szeleściły króliki, po trawnikach biegały sarny.

Z wysokości galeryi ogród wydawał się jakiś dziwnie piękny, pociągający ku sobie.

— Panie — szepnęła — jako wielmożne są sprawy twoje, będę radowała się w uczynkach rąk

twoich! Wszystkoś w mądrości uczynił, niechajże chwała twoja trwa na wieki!

I stanął jej w myśli Aminadab i to życie promienne, które sobie obiecywali; stanął Mardochai i matka, która gdzieś w pustyni zginęła, i ta dola sieroca, w której się znajduje, i ta przyszłość zagadkowa, która ją czeka.

Po stopniach marmurowych zeszła na taras, oparła się o balustradę i przyglądała się kilku młodym sarenkom, które się pasły na trawniku.

Było pięć młodych jagniąt i trzy stare samice,

— Jakie szczęśliwe te zwierzęta — pomyślała — żyją bez troski pod opieką Bożą, a choć są w niewoli, to nie rozumieją jej.

Jedna z sarenek zbliżyła się do tarasu i wyciągnęła do Hadassath głowę. Chciała ją pogłaskać, ale zwierzątko zabeczało żałośnie i odskoczyło, a w tej chwili całe stadko znikło w gęstwinie.

— Boją się mnie, wiedzą jednak, że człowiek może im coś złego uczynić.

I patrzyła pilnie, czy się stadko nie ukaże.

Ale ukazał się jej człowiek.

Stanął przy niej w świetle księżyca, jakby z pod ziemi wyrosł, lub wyszedł z kolumny, albo spłynął z promieniami księżyca.

Przerażona chciała uciekać. Lecz on ukląkł przed nią i zaczął szeptać:

— Nie lękaj się, boska dziewico, to ja sługa twój, wierny Athach.

— Co tu robisz?

— O, pani, odkąd weszłaś pod opiekę Egeja i bogowie dali mi szczęście być twoim sługą, Zi-an-

na [1]) prześladuje mnie, Rozrywa mi wnętrzności, pali serce, odpędza bóstwo snu i spokoju i błąkam się, jak opętany i strzegę cię, jak pies.

— Taki niedobry ten Zi-anna?

— On ma wysłanniki swoje, które czyhają na zgubę naszą.

— Biedny mój Athachu, czemże zasłużyłeś na jego gniew?

— Zesłał go Merodach, bóg potężny, który cię obdarzył pięknością, o pani, jakiej boginie nie mają. Wpatrywałem się zuchwale w twe niebiańskie oblicze i ukarał mnie.

— To też nie patrz na mnie.

— O, pani, nie odmawiaj mi tego szczęścia, które osładza mi dni tęsknoty do mojego kraju.

— Tyś nie Suryjczyk?

— Ziemia, w której ujrzałem światło Haldia [2]), leży tam, gdzie słońce patrzy z najwyższego punktu nieba, tam, gdzie góry i jeziora, gdzie jest mój naród Hajk, który tu nazywają Armina [3]).

— Wzięto cię do niewoli?

— Porwano mnie z łona matki, która chciała mnie ukryć. Zabito ją, gdy trzymała mnie mocno, a ojca sprzedano do niewoli.

— Biedny jesteś, Athachu!

— Oby ci Aburamazda dał dni szczęścia i pokoju, oby Haldia przyświecał ci w życiu blaskiem chwały nieskończonej, oby Merodach...

---

[1]) Zi-anna zły duch.
[2]) Bóg armeński.
[3]) Armenia.

— Bądź w pokoju, Athachu — przerwała Hadassath i pobiegła szybko po schodach na górę.

W kilka dni po tej rozmowie Hadassath siedziała w altanie pod cieniem zielonych bluszczów i przypatrywała się wesołej zabawie swych dziewcząt, które jak białe motyle biegały po szmaragdowym trawniku.

Myśli jej nie były wesołe. Widziała w koło siebie ucisk, niewolę, fałsz, obłudę. Pod maską uległości kryła się straszna nienawiść w całej tej hordzie sług i niewolników. Zdeptano tu wszystkie najświętsze uczucia dla dogodzenia jednemu człowiekowi, który nosił miano władcy.

— Więc on władca — myślała — a my kto? On nie ma litości dla nikogo, on nie kocha nikogo, prócz siebie, a i jego nikt nie miłuje, choć każdy usty miłość wyznaje. Biedny ten Athach; porwano go z łona matki, zabito ją, a ojca sprzedano. Jaki on musi być nieszczęśliwy, jak on nienawidzi tego despotę!

Najmłodsza z dziewczyn, zawsze cicha i zamknięta w sobie, nie brała udziału w zabawie. Stała opodal smutna i zamyślona, a oczy jej lśniły w słońcu brylantami łez.

— Chodź do mnie, Sparetro — zawołała Hadassath, a gdy dziewczyna przybiegła, przytuliła ją do siebie.

— Czemuś smutna i nie bawisz się? — zapytała, głaszcząc ją po twarzy.

— Smutno mi bardzo, pani. Chciałabym pobiedz do matki, do ojca, chciałabym odwiedzić nasz dom, nasz kraj...

Zaczęła płakać.

— I ty tęsknisz do swoich?

— O, pani, kocham swój kraj nad wszystko.

— Zkąd pochodzisz?

— Kraj mój jest w tej stronie, gdzie słońce zachodzi; gdzie rzeka Paktol, gdzie góra Tmolus, gdzie miasto Sardes. Tam mowa inna, ludzie inni, tam wszystko piękniejsze.

— Jak się tu dostałaś?

— Była wojna, małą wtedy byłam, wzięto mnie do Suzy i jestem tu.

— Masz ojca?

— Nie wiem.

— A matkę masz?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Żołnierze wpadli do nas w nocy. Porwali mnie, dokoła paliły się domy i sady, i nie widziałem już ojca, ani matki. Nie wiem, czy żyją, nie wiem, czy myślą o mnie, czy wiedzą, że tu jestem.

— Ty myślisz o nich?

— O, pani! ciągle myślę. Gdybym była ptaszkiem, poleciałabym na skrzydłach do ojca, do matki i braci. Tam wypłakałabym się matce na piersiach, poskarżyłabym się ojcu, a potem poszłabym z braćmi i siostrami pod górę, nad brzeg Paktolu i bawiłabym się wesoło i swobodnie...

— Źle ci tutaj?

— Jesteś dobrą dla nas, o pani, kochamy cię bardzo, ale to nie usunęło tęsknoty z mego serca. Tak radabym choć matkę zobaczyć, że gdy przyjdzie noc, widzę ją zawsze przy sobie, ale gdy oczy otworzę, gdzieś mi się zaraz ukryje. I tęskno mi, tęskno, i ból rozdziera piersi i oblewam łóżko łzami. Gdym przedtem służyła królowej Wasthi, chowałam się ze smutkiem, bo nie była tak dobrą, jak ty, o pani!

To wyznanie Sparetry rozczuliło Hadassath. I jej

stanęła przed oczy matka, o której też nie wiedziała, czy żyje, i ona pragnęłaby nieraz tulić się w objęciach tej matki, którą zawsze tak bardzo kocha i tak dobrze o niej pamięta.

Aby powstrzymać łzy, które gwałtem cisnęły się jej do oczu, zawołała:

— Ukój smutek, Sparetro, myśl lepiej o zabawie, bo na cóż się przyda rozmyślać o rzeczach, które nie dadzą się spełnić? Pan wszystkiem włada. On kieruje losami ludzkiemi.

— Pan?—zapytała Sparetra zdziwiona—a gdzież On jest?

Hadassath wyciągnęła obie ręce ku niebu:

— Tam, w górze, gdzie słońce i księżyc świecą, gdzie gwiazdki błyszczą, gdzie chmury płyną. Tam, gdzie na wolności ptaszki wesoło śpiewają, tam jest ów Pan Wszechmocny, który z wysoka patrzy na ziemię i widzi złych i dobrych, śmiejących się i płaczących, który nadstawia ucha na prośby i krzyki nieszczęśliwych i pokrzywdzonych. Ten Pan wynagrodzi uniżonych, a ciemiężców srogo ukarze.

— A czemuż nie karze Persów i nie da mi matki?

— O, Sparetro, nie mów tak. Przyjdzie czas, że spotka ich kara, kara wielka, a ty spoczniesz w objęciach matki.

— O, dobra pani, Wasthi nie była taką!

— Ona była królową.

— I ty będziesz królową. Hegai mówił, że zajmiesz miejsce Wasthi...

— Słyszałaś to?

— Wszystkie słyszałyśmy. Mówił: „Służcie jej, jako królowej, bo ona będzie w miejsce Wasthi. Tak

pięknej niewiasty nie stworzył przedtem Aburamazda".

— Aburamazda nikogo nie stworzył! — zawołała Hadassath.

— Wszystko mi jedno, pani, kto cię stworzył. Dosyć mi, żeś jest najpiękniejsza i wszystkie wybranki zazdroszczą ci tego.

— A ty mnie kochasz?

— O, pani moja, ja cię kocham więcej niż swą duszę; ja ci nie zazdroszczę, bom nie wybrana do łoża królewskiego. Jakże cieszyć się będę, gdy zostaniesz królową!

Wesoły śmiech przerwał rozmowę; dziewczęta rozbawione otoczyły wieńcem swą panią i wciągnęły ją i Sparetrę do wspólnej gonitwy.

Po tej rozmowie Hadassath jeszcze bardziej unikała towarzyszek i żyła zamknięta w sobie. Dziewczętom swym opowiadała o Bogu Jedynym, o Jego przykazaniach, uczyła ich wzajemnej miłości i skromności.

Siadywała często z niemi na galeryi pod kopułą i spoglądając na dalekie przestrzenie, mówiła o potędze Jedynego.

Pewnego dnia dziewczęta obsiadły ją kółkiem wedle wieku.

Było gorąco. Ale sklepienie kopuły chroniło od piekących promieni słońca, a sztuczne przewiewy chłodziły powietrze.

Przepiękny widok roztaczał się ztąd na olbrzymie ogrody.

Ogromne drzewa kameliowe okryte były kwieciem; między ciemno-zielonemi liśćmi złociły się pomarańcze i cytryny; widniały wysokie palmy i latanie; w klombach kwitły fiołki, tulipany i lilie białe, a w powietrzu unosił się cudny zapach hiacyntów naj-

rozmaitszych barw. Dalej stały ponure cyprysy, sykomory z wielkiemi koronami, dęby przysadziste w malowniczych grupach i wszelkich gatunków drzewa i krzewy.

Wysoko nad tem górowała wspaniała *apadana*, z dwoma olbrzymich rozmiarów pylonami.

— Jak piękny świat stworzył Pan! — zawołała Hadassath zachwycona.

Dziewczyny milczały.

— Gdyby na świecie ludzie byli lepsi—mówiła po chwili—gdyby żyli w spokoju obok siebie, jak te drzewa i kwiaty, gdyby nie było wojen, zaborów, niewoli, o ileż byłoby przyjemniej żyć na ziemi!

— Opowiedz, nam, pani, o początku świata — prosiła Sparetra.

— Świat stworzył Aburamazda — odezwała się Amestryda. Jest on duchem majestatycznym, przenajświętszym, posiadającym całą mądrość wszystkich jestestw. Jest on panem i mistrzem niebiańskich stworzeń. Od niego pochodzi sześciu świętych nieśmiertelnych, którzy są stróżami ludzi.

— Prawdę rzekłaś, Amestrydo—mówiła Hadassath — świat stworzył Pan, którego nazywasz Aburamazdą, a Pan ten święty jest i potężny i wszystko może. On stworzył cały świat słowem swojem.

— Słowem stworzył?—zdziwiły się dziewczyny.

— Tak jest, Pan tylko rzekł i wszystko się stało.

— Odrazu wszystko się stało takie piękne i takie doskonałe?—zapytała Tawas-hasina.

— Nie odrazu, Tawas-hasino; Pan wszystko robi wedle porządku. Jak was siedem siedzi przedemną, tak siedem było dni stworzenia. Usługujecie mi z kolei, każda dzień jeden w tygodniu; niech więc

każda oznacza jeden dzień stworzenia i nosi miano tej rzeczy, którą Pan w tym dniu stworzył.

Dziewczyny klasnęły w ręce:

— Jak to dobrze—wołały—będziemy oznaczały stworzenia. Mów, pani!

— Słuchajcie uważnie. Na początku nie było nic, jedna ciemna pustka. Nie było ziemi, ani nieba, ani słońca, ani żadnej rzeczy. Pan Bóg rzekł: niech będzie ziemia i stała się ziemia. I to był pierwszy dzień stworzenia. Tym dniem będziesz ty, Amestrydo, i odtąd nazywać cię będę Halathah [1]).

— Halathah, Halathah! — dzwoniły rozbawione głosy dziewcząt.

— Drugiego dnia stworzył Pan niebo, to piękne, modre, po którem chmury płyną i chodzą światła niebieskie. Ten dzień będzie nam przypominała Nubta, którą nazywajcie Rawakithah [2]).

— Rawakithah!

— Na trzeci dzień rozkazał Pan, ażeby wyrosły drzewa trawy i kwiaty, i okryła się ziemia tą piękną szatą zieloną, która raduje oczy nasze, i ty będziesz Ganonithah [3]), to jest przypomnienie dnia trzeciego stworzenia, dodała, wskazując na trzecią z kolei dziewczynę.

— Potem kazał Pan świecić słońcu, księżycowi i gwiazdom, które nie są bogami, ale zwykłemi tworami rąk Bożych; a stało się to czwartego dnia, którym będzie Nhaorithah [4]).

---

[1]) Krąg ziemi.
[2]) Szata niebieska.
[3]) Ogród, raj.
[4]) Światło.

— Przyszedł dzień piąty. Na głos Boży ukazały się ptaki i wszystko, co lata w powietrzu, i otrzymały życie wszystkie zwierzęta, co są na ziemi, i ryby, co w wodzie, i wszystko, co żyje i porusza się, a dzień ten niech nam przypomina ona, którą nazywać będziemy Rahaszythah [1]).

— Nakoniec stworzył Pan człowieka, który jest ojcem wszystkim ludzi, panem ziemi i królem zwierząt, a oto Hurpithah [2]), przypomnienie dnia szóstego.

— A ty, Sparetro, jesteś Rugwitha [3]), bo siódmego dnia przestał Pan stwarzać — ale wszystko utrzymuje w porządku.

Dziewczęta z radością przyjęły te nowe imiona i służąc swej pani, każda w swym dniu, powtarzały dzieje stworzenia, dopóki sen jej nie owładnął.

Hadassath nauczyła je zachowywać obyczaje Hebreów, zachęciła do śpiewania psalmów, przekonała o istnieniu jedynego Boga i w pałacu króla pogańskiego, wśród zgiełku, rozpusty, żyła życiem swego narodu, którego ani na chwilę nie przestała kochać.

Raz, gdy siedziała samotna w swej sali, a dziewczęta bawiły się pod kopułą, wszedł Athach.

— O, pani — rzekł, całując ziemię przed jej stopami — niewesołą wieść niosę dziś od dostojnego Mardochai.

Hadassath poruszyła się gwałtownie na taborecie.

---

[1]) Tłum, trzoda.
[2]) Młodzież, ludzie.
[3]) Spokój.

— Mów—rzekła—co się stało?

— Jestem pies twój wierny, gotów dla ciebie, o pani, porwać się na samego Assura, i nie chciałbym przynosić ci wieści, któreby cię smutkiem napełniały, ale tak kazał dostojny Mardochai, więc mówię: Dostojny Aminadab wrócił z dalekich krain i jest bardzo chory...

— Aminadab chory..—powtórzyła przerażona.

— Nie pomogły zamawiania sławnego lekarza, nie pomogły zaklęcia czarownicy; zapewne Szed, bóg śmierci, zawładnie nim na zawsze.

— Boże, zlituj się nad nim!—jęknęła.

— Żąda odemnie, abym go wprowadził tu, bo mówi, że ty tylko, o pani, możesz mu zdrowie powrócić.

— Tak mówi?

— Powiedziałaś, o pani!

— A czy mógłbyś to uczynić?

— Wszystko gotów jest uczynić Athach dla swej boskiej pani, ale Aminadaba nie sprowadzi...

— Dlaczego?

— Bo sprowadziłby śmierć okrutną na swą głowę i na głowę swej pani, a tego nie chce.

— Gdyby Athach był naprawdę wiernym, nie lękałby się o swą głowę.

— Nie mów tak, o najpiękniejsza gwiazdo nasza!

Zapukano do drzwi i wszedł wielki eunuch Hegai.

Athach ucałował ziemię przed stopami Hadassath i zniknął za kotarą.

Hegai skłonił się do ziemi i, milcząc, patrzył na Hadassath.

— Co powie Hegai?—zapytała.

Pani moja wie, że zbliża się czas, aby weszła do łożnicy króla. Zastęp sprowadzonych dziewic z całego państwa zmniejsza się, bo co wieczór jedna wchodzi do króla, a rano nie wraca, ale idzie do drugiej połowy anderunu, gdzie są żony królewskie pod opieką Saasgasa, rzezańca królewskiego. Żadna dotąd nie zajęła miejsca Wasthi i żadna nie wróci do łoża królewskiego, aż jej przyjść rozkaże. Lecz któraż może się równać z tobą, o najpiękniejsza? Ty rozradujesz oczy królewskie; ty zajaśniejesz w tym domu, jako gwiazda wspaniała; ty panować będziesz w miejsce Wasthi.

— Pochlebstwo jest udziałem ust twoich, Hegai, a miodem wargi twoje. Wnijdę do króla, a jako Pan sprawi, tak będzie.

— Lecz czemuś wzgardziła, pani, olejkami, które podnoszą urok kobiety?

— Nie znam innych wonności, któreby lepiej stroiły niewiastę, nad zapomnienie o swej urodzie.

— Potrzeba jednakże, aby niewiasta, która ma wnijść do króla, namaszczała się przez jakiś czas olejkiem z mirry, a potem oblewała się wonnościami. Wszystkie inne czynią to sumiennie.

Rozkaż służebnicom moim, niech robią, co potrzeba.

— Dzięki ci, o pani, żeś usłuchała głosu mego. Aburamazda obdarzył cię pięknością niezwykłą; gdzie się obrócisz, jaśniejesz, jak gwiazda najpiękniejsza. Wszyscy chylą czoła przed tobą, jakbyś już była królową, wszyscy spoglądają na ciebie z podziwem i miłością, ale weź do serca, pani, słowa Hegai, który strawił życie w haremie i zna żądze pańskie. Każdej kobiety lato rozkwitu krótkie jest. Rozpoczyna się w jedenastym lub dwunastym roku życia, a kończy zaraz po dwudziestym. Każdy rok następny nową

zmarszczkę jej przynosi. Dawniejsze światło haremu, dziś całkiem ściemniało i zgasło... Piękność cielesna obudzi w nim gwałtowną, przelotną namiętność. Ale niezadługo żadne tkliwe wspomnienia nie pozostają po uprzykrzeniu sobie istoty, którą niedawno kochał do szaleństwa. To też jedna po drugiej zyskuje łaskę pańską, lecz tyle go obchodzą, ile piękny kwiat róży, na który z okna patrzy obojętnie, jak rozkwita i opada.

— Po cóż więc mam pielęgnować ciało, ażeby się na krótko przypodobać królowi?

— Pani, ty go olśnisz, ty go oczarujesz. On cię wyniesie ponad wszystkie niewiasty swoje. Owładniesz jego sercem na długo, może na zawsze, bo ty nietylko ciałem czarujesz. Ty masz w sobie coś boskiego, coś takiego, czego ja nazwać nie umiem, tyś wyrosła jako najwspanialszy kwiat, który oczy zachwyca...

— Nie potrzebuję więc używać farb, jak Barsina, Roksana, Statira, Parysatida i inne, które się kąpały, namaszczały wonnemi olejkami, farbowały dłonie i paznokcie na kolor czerwony, różowały policzki, czerniły rzęsy i powieki...

— Farb i czernideł nie potrzebujesz, ale powinnaś się kąpać, namaszczać myrrą i wonnościami, powinnaś dbać o zachowanie tego uroku, który ci dał Wszechmocny Aburamazda, ażebyś jak najdłużej władnęła sercem Pana naszego Achaszwerosza.

Dziewczęta, goniąc Sparetrę, zbiegły z krzykiem ze schodów do sali. Hadassath otworzyła ramiona i pochwyciła ją w objęcia. Zadyszana przytuliła się do niej, a jej prześladowczynie otoczyły panią ze śmiechem, domagając się okupu.

— Nie dostaniecie nic! — wołała Hadassath —

owieczka w oborze, nie złapałyście jej, nie otrzymacie nic.

— Niech ucieka! niech ucieka! — szczebiotały— złowimy ją! niech ucieka!

Sparetra nagle wyrwała się z objęć Hadassath i skoczyła na schody. Zanim się spostrzeżono, była już pod kopułą.

Powstał pisk, ścisk przy schodach, śmiech i wszystkie zginęły w ogrodzie.

Hadassath pobiegła za niemi.

Dni płynęły.

Czas wejścia do łożnicy królewskiej zbliżał się. Hegai rozciągnął szczególne staranie o Hadassath, która była mu posłuszną we wszystkiem i nie sprzeciwiała się kąpielom, namaszczaniom, oblewaniom.

Ale w duszy zachodziła przemiana.

Wiedziała, że będzie przez dłuższy lub krótszy czas zabawą swego pana, a gdy mu się sprzykrzy, pójdzie na stronę, jak sprzęt zużyty, i nikt się o nią troszczyć nie będzie. I tęskniła do dawnego życia, tęskniła do Mardochai, Aminadaba i Sary, którzy kochali ją prawdziwie i kochaćby nie przestali, choćby utraciła urodę. Budziła się w niej duma kobieca, poczucie swej godności, które wzrastały im bardziej Hegai nakłaniał ją do pielęgnowania ciała.

— Młodość i piękność to broń kobiety — mawiał — a która ma taką urodę, jak ty, o pani, jest niezwyciężoną. Trzymaj się więc tej broni, jak można najdłużej.

Ale to gniewało ją, bo mówił jej zaraz, że uroda prędko przemija, że wdzięki opadają, i zarazem lękała się tej przyszłości nieznanej, która czekała ją w gronie taki sam los dzielących niewiast.

Lecz na tych rozmyślaniach potężniał jej umysł, dojrzewała rozwaga.

Kolej wreszcie przyszła.

Hadassath była smutna i strwożona. Nie słuchała wskazówek Hegai, nie zwracała uwagi na stroje, w które ją ozdabiano, chętnie schroniłaby się przed tą chwilą gdzieś w kąt najciemniejszy, lub zamieniłaby się z którą ze swoich dziewczyn. Modliła się gorąco do Jehowy, aby otoczył ją opieką i zesłał anioła, któryby kierował jej krokami, gdy stanie przed obliczem króla.

Ale chwila przyszła.

Hegai wprowadził ją do sypialni królewskiej.

Serce biło jej gwałtownie; opierała się mocno na ramieniu rzezańca, bo siły ją odbiegły.

W sali panował półmrok, bo tylko przez otwory w kopule wdzierały się czerwone promienie zachodzącego słońca, co wywoływało widok jakiś nadzwyczajny.

Na wspaniałem łożu spoczywał władca stu dwudziestu prowincyj. Leżał twarzą do góry, z oczyma przymkniętemi. Obok łoża na bogatym kobiercu leżał ulubieniec jego, wielki pies, Sarduzya.

Było cicho; rozlegał się tylko głośny oddech psa i śpiew ptasząt, dochodzący z ogrodów.

Hegai posadził Hadassath na złotem krześle, które stało przy łożu pana, i wysunął się cicho.

Zatrzymała oddech. Ogarnął ją taki lęk, że nie śmiała się ruszyć. Patrzyła przed siebie.

Ściany zawieszone były drogiemi kobiercami babilońskiemi; na stołach leżały zbytkowne sprzęty: miecze perskie, łańcuchy na szyję, zausznice, oraz szaty królewskie, łuk i tarcza.

W rogach stały sławne w starożytności złoty

jawor i winny krzew ze złota, z którego spuszczały się grona ze szmaragdów i karbunkułów indyjskich.

Blaski na fryzach zaczęły przygasać; mrok robił się coraz większy; sufity ginęły w cieniach nocy.

Król otworzył oczy.

Hadassath zamarła; silny rumieniec zabarwił jej lica.

Patrzył na nią zdziwiony.

Zamiast zwykłej pięknej dziewczyny, jakie sprowadzano mu co wieczór, siedziała przy nim istota nieziemska. Aureola gasnących blasków wieczornych otoczyła jej głowę. Krucze sploty włosów lśniły czerwonawym ogniem, jakby osypane proszkiem tlejących iskier. Cała postać była świetlana, zachwycająca.

W sercu królewskiem zatliło nieznane mu dotąd uczucie: miłość, połączona z bojaźnią i czcią.

Nie sprawiły tego, powiada pewien pisarz, cudne oczy przepaściste, różane policzki i kwiatom granatu podobne usta. Wrażliwość tego władcy była na tego rodzaju uroki przytępiona; ale stał się jego źródłem duch piękny, który w odpowiedniem ciele mieszkanie obrał.

Ten upojony wielmożnością swą władca, który dotąd żył samemi tylko zmysłami i tylko samemi zmysłami pojmował kobietę, zdumiał się na widok tego zjawiska.

Był to zachwyt z przerażeniem graniczący.

Nie śmiał się ruszyć, nie miał odwagi dotknąć się jej ręki. A im więcej wpatrywał się w nią, tem bardziej rosła cześć dla niej.

Bogini, czy jej posłanniczka, myślał, i uczuł dziwną ochotę porwać się z łoża, upaść na kolana i całować jej stopy, które spoczywały na purpurowym podnóżku.

— Kto jesteś? — zapytał stłumionym, drżącym głosem.

— Hadassath.

— Zkąd pochodzisz?

— Z Suzy.

— Przystąp do mnie.

Zsunęła się z krzesła i stanęła przy łożu.

Tymczasem światło zgasło i bogini zamieniła się w zwykłe, rozkoszne, woniejące dziewczę...

Na drugi dzień Hadassath została ogłoszona królową i otrzymała imię *Esther*, co znaczy *gwiazda*.

Król wyprawił ucztę wspaniałą, po której Esther zamieszkała w przepysznych pokojach Wasthi.

XIV.

— Ależ to szaleństwo, dostojny panie! — wołał Athach.

— Czemu?—zapytał Aminadab.

— Zgubię siebie i ciebie.

— Siebie nie zgubisz, bądź pewny, a o moją zgubę nie martw się, bom już zgubiony.

— Nie, panie, napróżno mnie namawiasz. Uczynić tego nie mogę.

— Nie możesz?—krzyknął Aminadab—nie możesz? Powiedz lepiej, iż nie chcesz.

— Nie mogę chcieć tego, co jest niemożebne.

Aminadab upadł na łożu i zakrył twarz rękami.

— Słuchaj — rzekł po chwili — ja muszę ją widzieć. Ty nie odmówisz mi przysługi. Małoż ci obiecałem?

— Nagroda suta, gardzić nią byłoby głupstwem, ale mnie nie skusi.

Aminadab zerwał się z łoża, schwycił rzezańca za ramię i zawołał:

— Czy ty rozumiesz, jak ja ją kocham? Ja umieram z tęsknicy!

— Cóż ci na to poradzę?

— Zaprowadź mnie do niej.

— Nie mogę.

— Bodaj cię kwadim spalił!

— Niesłychana rzecz, aby mężczyzna wchodził między niewiasty królewskie. Bycza krew wcale mi nie smakuje. A zapewne i tobie, panie!

— Nie myślę o tem, co mnie może spotkać, bylem ją widział...

— Widzieć jej jednak nie będziesz.

— Podwajam nagrodę.

— Nic nie pomoże.

— Namyśl się.

— Trudno. Nic nie wymyślę.

— Jesteś tchórz, mój Athachu!

— Ja tchórz? Nie mów tego, panie!

— Nie powiem, jeżeli mnie do niej zaprowadzisz...

Athach zamyślił się, jakby szukał sposobu zakończenia rozmowy. Wreszcie rzekł:

— Czekaj na mnie, dostojny panie, wieczorem u Zammamaddina.

Skłonił się nizko i wyszedł.

Dzień wydawał się Aminadabowi niezmiernie długi. Kilka razy wybiegał do ogrodu, wracał znowu do izby, wychodził na dach, zstępował do suteren.

Patrzył na słońce, które stało na miejscu i nie poczuwało się do przyśpieszenia biegu. Miał nieprzezwyciężoną chęć popchnąć je z taką siłą, żeby zapadło i więcej się już nie pokazywało.

Wszystko go gniewało, nawet ulubiony kogut, który zapiał na drzewie. Porwał kamień i rzucił nim w zuchwalca; ten zdziwiony z krzykiem przeraźliwym sfrunął z drzewa i schował się między krzewy.

Małą sarenkę, która przybiegła, przymilając się, kopnął brutalnie nogą.

Gniewał się na drzewa, na schody, na służbę; wszystko stało mu na zawadzie.

Wreszcie stanął pod drzewem w ogrodzie i patrzył bezmyślnie na linie zegara słonecznego.

Nagle usłyszał kroki za sobą.

Obejrzał się. Zbliżała się czarownica.

— Bądź pozdrowiona, jasnowidząca — zawołał uradowany.

— Cześć ci, dostojny panie!

— Miałaś ciekawe *hazon?* [1])

— Ja zawsze widzę, jak uganiasz się za mrzonkami, które się rozchwieją. Moje hazon — to dziew-

---

[1]) Widzenie.

czyna, którąś wzgardził, której zniszczyłeś szczęście. Moje hazon, to jej łzy, jej jęki, które cię nic nie obchodzą.

— Aj, nie mów tak—krzyknął Aminadab—słowa twoje, jak wosk gorący, palą mi serce.

— Więc ty czujesz jej ból?

— Jakże chciałaś, przecież Sarwia była dobra.

Wróżka wzięła jego rękę i silnie uścisnęła.

— Żałujesz tej dziewczyny?

— Mów mi raczej o mojej Hadassath — odparł żywo.

Usiadła na kamiennej ławeczce i skinieniem ręki wskazała mu miejsce obok siebie.

— Jesteś zawsze chory i nie mogę cię wyleczyć z tych uroków, jakie na cię rzuciła ta Hadassath, którą napróżno nazywasz swoją. Ona nigdy nie była twoją i nigdy nie będzie.

— Tak mówisz?

— Twój rozum powinien ci to mówić, dostojny panie, bo jakże możesz myśleć o dziewczynie, która należy do kobiet królewskich? Zapomnij o niej i szukaj ukojenia na łonie innej.

— Nie znajdę spokoju, aż ujrzę ją i usłyszę od niej słowo ukojenia.

— Jakże możesz ją widzieć?

— Pójdę do haremu.

Wróżka poruszyła się gwałtownie.

— Co powiedziałeś, panie!

— Pójdę do anderunu.

Oczy jej błyszczały z pod zasłony, jak dwa płomyki.

— Zły duch cię opętał, czyś rozum stracił?

A wiesz, że sama myśl o tem może zaprowadzić cię na szubienicę?

— Wszystko mi jedno.

— Nie wymawiaj próżnych słów, aby cię nie podsłuchały złe duchy. Strzeż się, abyś nie zgubił siebie i tej dziewczyny, której nigdy posiąść nie możesz.

— To też wolę, gdy zginiemy oboje, niż gdyby żyła w domu królewskim.

— Tak mówisz? A czy wiesz, co ona woli — szubienicę razem z tobą, czy wesołe życie w pałacach królewskich? Jeżeli ją kochasz, pragnij najpierw dla niej szczęścia, a nie zguby, a potem mów o miłości.

— Pójdę i zobaczę, jakie jej szczęście.

Wróżka zerwała się z ławki i, wyciągnąwszy ku niemu rękę, zawołała:

— Zgiń więc razem z nią, nieszczęsny, a przekleństwo moje niech spadnie na głowy wasze!

Szybko wybiegła z ogrodu.

Aminadab osłupiał. Nigdy bowiem nie widział jej tak rozgniewanej i zaczął się lękać jej przekleństwa.

Ale słońce miało się już ku zachodowi, więc poszedł do swej izby, wziął kinnor, owinął się szarym płaszczem i wolnym krokiem podążył do bramy pałacowej.

Zammamanaddina spostrzegł w namiocie Iddiny, jak kończył dzban.

— Pokój dostojnemu Zammamaddinowi!

— Niech łaska Merodacha, Sina i Isztary spadnie na twą głowę, zacny młodzieńcze! — zawołał pisarz, nalewając wino do czarki. — Siadaj tu i podziel ze mną to wino, prawdziwe cylijskie.

Aminadab usiadł, a niewolnik przyniósł zaraz drugą czarkę.

— Cóż, młodzieńcze, źle mi wyglądasz. Głupią masz chorobę, a lekarstwem na nią wino lub piękne kobiety. Używaj tych lekarstw, a będziesz zupełnie zdrów.

— Idę do ciebie — odrzekł niecierpliwie Aminadab.

— Oby Isztar Arbelska miała cię w opiece! Ty do mnie? Co za szczęście! Na Merodacha, musi w tem coś być. Hej, młodzieńcze, napij się wina, to cię rozweseli.

Aminadab wychylił czarkę.

Zammamanaddin był wesół i rozmowny, Aminadab zły i niespokojny.

Po drodze Zammamanaddin pytał:

— Masz co do mnie?

— Nie.

— Oby cię Namtor, duch zarazy i posłannik śmierci, zdaleka ominął! Ale pocoś przyszedł?

— Odwiedzić cię.

— Tak? Annunowie niech się zaopiekują tobą! Myślałem, że masz jaką sprawę do mnie, a tyś przyszedł tylko mnie odwiedzić. To dobrze. Oby jaka Hakirtu słuchała twej lutni i śpiewała ci pieśni kojące, abyś zapomniał o tamtej, co ją pan nasz najmiłościwszy sprzątnął do swego haremu, bo i kinnor pod płaszczem widzę. Dziękuję ci, tylko u mnie pięknej Hakirtu, ani Upsamru nie znajdziesz, więc zdaje mi się, że ty coś do mnie masz, bo to jakieś niezwykłe odwiedziny.

— Cóż mam mieć?—zawołał Aminadab—nic nie mam; wiesz, że jestem nieszczęśliwy.

— Eh, głupstwo, mój chłopcze! To żadne nieszczęście. Żebym ja się miał martwić o to, że ja-

kaś tam dziewczyna uciekła odemnie, to niechby mi Merodach rozpłatał brzuch, niechby mi wyjął serce z piersi i niechby mnie rzucił psom na pożarcie.

— Tak mówisz, bo tego nie pojmujesz.

— Ha, ha, ha, ja nie pojmuję? Bredzisz ot, jakbyś miał lat pięć, albo jakby ci Isztar Niniwska rozum odjęła! Ja nie pojmuję... Ho, ho, mój chłopcze, ja pojmuję; ja wiem, co to ból. Ale czego ty chcesz? Twoja Hadassath wzięta do króla; może być królową, a więc bardzo szczęśliwą, a ty płaczesz tego, bo powiadasz, że ją kochasz i tęsknisz do niej... I czemuż nie cieszysz się z jej szczęścia, skoro ją kochasz? Czyż to jej krzywda w domu królewskim?

— Ja nie chcę, ażeby ona tam była!

— Nie chcesz? Ha, to sobie nie chciej; przeciwko temu nie mam nic. Ale widzisz, to jej nic nie pomoże, ani zaszkodzi.

— Ja ją ztamtąd wyprowadzę!

— Oho! Jakiś ty jednak zuch. Lubię cię, mój chłopcze, bardzo lubię, ale muszę ci powiedzieć, żeś powiedział głupstwo; bo sam przyznaj, że tego nie można.

— Owszem, mówię szczerze.

— Jakim więc sposobem?

— Pójdę do niej i wyprowadzę.

— Cicho bądź — szepnął Zammamanaddin, bo przechodzili przez podwórze, na którem jak zawsze pełno było ludzi.

Gdy się znaleźli w izbie, Zammamanaddin zapytał:

— Widzę, że opętał cię bóg *Ból głowy*, bo głupstwa mi prawisz! Powiedz mi więc, jakim sposobem dostaniesz się do anderunu?

— Zaprowadzi mnie Athach.

— Athach, rzezaniec?

— Ten sam.

— Ależ to leziesz w paszczę lwu!

— Niech tam!

— Oszalałeś chyba.

— Pewnie oszalałem.

— Ha, jeżeli tak, to urywam rozmowę, bo i cóż będę mówił z szalonym?

Zapanowało milczenie.

Aminadab siedział na nizkiej ławeczce, Zammamanaddin chodził po izbie.

Zaczęło się ściemniać; gwar na podwórzu ustawał.

— Przypuśćmy, że ci się uda wedrzeć się do niej — rzekł w końcu Zammamanaddin — to jakże ją uprowadzisz? Masz kogo do pomocy?

— A mnie to na co?

— Widzę, żeś zupełnie stracił rozsądek. Przecież jej na plecach nie wyniesiesz?

— Niosłem ją przez góry i lasy, i teraz, gdy będzie potrzeba, poniosę.

— Ale czy ona zechce iść z tobą?

— Pójdzie.

— Zkąd masz pewność?

— Kochaliśmy się bardzo i byliśmy szczęśliwi.

— To mało. Ona teraz będzie królową; nie zechce dla ciebie tracić takiego szczęścia.

— Ona znajdzie szczęście tylko ze mną, a nie w domu królewskim.

— Eh, nie znasz kobiet; im się nie wierzy. Kobieta żąda złota, pereł, czci i wygód...

— Hadassath jest wyjątkową.

— Tak ci się tylko zdaje.

Rozległo się kołatanie w drzwi i wszedł Athach.

— Cześć ci, dostojny Zammamanaddinie!

— Bądź pozdrowiony, Athachu! Przedsiębierzesz niebezpieczną wyprawę.

— Sam to wiem, ale cóż mam robić z tym do-

stojnym młodzianem? Nie ja odpowiadam za skutki tego bardzo niebezpiecznego przedsięwzięcia. Wpuszczę go do ogrodu. a on niech udaje kapłana bogini Anachity, który wszedł, jako zwiastun szczęścia i uciech. Jeżeli się podstęp wyda—umywam ręce.

— Nie opuszczę cię—rzekł Zammamanaddin do Aminadaba—pójdę z tobą.

— Nie może to być?—zawołał Athach.

— Przebiorę się za niewolnika świątyni Anahity i będę zbierał jałmużnę. On gwałtowny, zapalony, może zrobić głupstwo.

— Możemy się wszyscy dostać na szubienicę!

— Będzie nam weselej.

— Dziękuję za taką wesołość, ale tu żartów niema.

— Nie lękaj się—uspakajał Zammamanaddin—co ma być, to będzie. Nikt losu swego nie uniknie. Ja jednak Aminadaba nie opuszczę. A jeżeli mnie z sobą nie weźmie, opowiem wszystko Mardochai.

— Przyczynisz się do nieszczęścia.

— Wszystko mi jedno. Poczekajcie tu chwilkę, ja zaraz wrócę tu z niewolnikiem.

Wyszedł.

— Cóż powiesz na to, dostojny Aminadabie?

— Nie brać go.

— Może naprawdę się przyda, to sprytny człowiek.

— Ty lepiej wiesz.

— Wpuszczę was do oddziału mej pani, a wy tam sobie radźcie. Gdyby się wszystko wydało, wyprę się, a wy bierzcie odpowiedzialność na siebie.

— Nie zdradzę cię, bądź pewny, choćby mnie na ogniu pieczono.

Było już po północy, gdy opuścili mieszkanie. Na ogromnem podwórzu było pusto.

Noc była ciemna.

Przesunęli się ostrożnie przez podwórze i stanęli pod murem, który przedzielał anderun od birunu [1]). W bramie stojący na straży rzezańcy przepuścili ich, milcząc.

Weszli do ogrodu.

Gęste liście drzew i krzewów sprawiały ciemnicę jeszcze większą. W pobliżu szemrał strumień, zdala zaś dochodziły ryki lwów i płacze szakali.

Przed nimi wiła się wązka drożyna, którą ledwie dostrzedz mogli.

— Droga ta — szepnął im Athach — prowadzi przed taras mojej pani. Tu się ukryjcie, a gdy Mitra ozłoci wschodnią część nieba, stańcie przed tarasem i, jak już mówiłem, dostojny Aminadab niech uderzy w struny. Zjawią się zaraz wszystkie dziewczyny służebne i słuchać będą muzyki. Wtedy niech przerwie granie i oznajmi się kapłanem Anachity, przybywającym od bogini dla widzenia się z ich panią. A co dalej nastąpi, to niech dostojne głowy wasze rozważą dobrze. A baczcie, byście nie wpadli w ręce „oczów i uszów" królewskich.

To rzekłszy, znikł w zaroślach.

Nie wiedzieli, co dalej robić.

— Chodź za mną — szepnął Zammamanaddin i zaczął iść naprzód.

Posuwali się ostrożnie, powoli.

Drzewa stawały się coraz bardziej gęste, a przez to ciemnica coraz większa.

Nagle droga się rozdzieliła na dwie strony.

Stanęli.

— Którą wybrać?—szepnął Aminadab.

---

[1]) Dom niewiast od pałaców królewskich.

— Jak uważasz?

— Na prawo.

Ruszyli naprzód.

Ale zaledwie uszli parę kroków, gdy Aminadab z głuchym jękiem zginął pod ziemią.

Zammamanaddin stanął przerażony. Nie wiedział, co dalej robić.

Z pod ziemi tymczasem dobywały się jęki, a ciemnica była taka, że nic nie można było dojrzeć. Domyślił się jednak, że Aminadab wpadł do cysterny, a że plusku wody nie słyszał, więc była sucha.

Postanowił go ratować.

Położył się na brzuchu i zaczął rękoma szukać otworu w ziemi, ale nie znalazł; zaczął się więc czołgać, ostrożnie, aż trafił na krawędź cysterny.

Ale co dalej robić? Aminadab jęczał szkaradnie; w ogrodzie panowała cisza; rozmawiać było niebezpiecznie, jak się więc porozumieć?

Namyślać się jednak długo nie mógł.

Szczęściem miał na sobie zamiast płaszcza gruby wór niewolnika. Podarł go prędko i z kawałów nawiązał długi pas, dosyć mocny. Spuścił jeden koniec do cysterny i, przechyliwszy się, zaczął szeptać:

— Uchwyć się i trzymaj mocno.

Aminadab słyszał szept; chwycił więc oburącz za pas, a Zammamanaddin zaczął go ciągnąć. Ale szło mu ciężko; nie był bardzo silny, a Aminadab ważył sporo.

Pomimo wytężenia wszystkich sił, byłby go upuścił, lecz nagle przyszła mu myśl, aby okręcił swój koniec naokoło drzewa, których tu było mnóstwo, aby zawiązał mocny węzeł i aby podał Aminadabowi rękę.

Prędko to zrobił. Jedną ręką schwycił się za

drzewo, drugą wsunął w otwór cysterny, ujął Aminadaba za włosy i zaczął ciągnąć.

Aminadab krzyknął z bólu.

— Nie krzycz, ale ciągnij pas do siebie i pnij się po nim do góry, tylko prędko.

Z wielkim trudem wydostał się Aminadab z cysterny; ale nie mógł się ruszyć. Leżał na trawie i jęczał cicho.

— Co ci jest?

— Noga mnie boli.

— Nieszczęście! Co ja teraz zrobię?

— Zostaw mnie tu, a sam uciekaj; niech tu zginę przed domem Hadassath; taka widocznie wola Jehowy, abym się przeniósł do *szeolu*.

— Nie mów mi o tem—raczej zginę z tobą, ale cię nie opuszczę.

— Zostaw mnie tu—prosił Aminadab.

Ale Zammamanaddin podniósł go z ziemi, wziął na barki i zawrócił ku wyjściu.

Lecz nie uszedł daleko; Aminadab był ciężki, złożył go więc napowrót na ziemi i sam przysiadł, by nieco odpocząć.

— Widzisz, co się stało? Potrzeba to było leźć na drogi, wiodące do bogini Ninkigali; chwila jeszcze, a strażnicy piekła obdarliby cię do naga i wszedłbyś do siedziby boga Irkala, do domu, z którego nikt nie wraca, w którym nie widać światła, gdzie pył jest chlebem, a błoto jedynem pożywieniem.

— Aj, noga!—syknął Aminadab.

— I cóż ci przyszło z tej wyprawy. Zgłupiałeś zupełnie, mój Aminadabie! Hadassath zginęła dla ciebie, niech ci się zdaje, że umarła.

— Wolałbym, żeby umarła.

Nagle stanęły nad nimi dwie ludzkie postacie.

Zammamanaddin porwał się na nogi, ale zaraz usiadł, bo potężne dłonie przygięły go do ziemi.

— Kto tu?—zapytano.

Zammamanaddin prędko oprzytomniał. Poznał, że są w rękach „oczów i uszów" królewskich i jeżeli nie wykręcą się kłamstwem, zguba ich pewna.

Bez długiego więc namysłu odrzekł:

— Chory kapłan wielkiej bogini Anahity i jego sługa, niewolnik świątyni.

— Co robi kapłan Anahity w ogrodach anderunu?

— Przyszedł na prośbę dostojnego Hegai przyrządzać maści i olejki wonne dla haremu.

Nastało milczenie.

„Oczy i uszy" królewskie wiedziały, że w haremie dzieją się często rzeczy niezwykłe, że Hegai jest samowładnym w tej części anderunu, że więc mógł wezwać kapłana do spełnienia jakiegoś czynu, który miał być okryty głęboką tajemnicą. To też niezdziwiły ich te odpowiedzi.

— Ale czemuż ten kapłan jest chory?

— Bogini ukarała go widocznie—odrzekł prędko Zammamanaddin, gdy jedno „oko" wyraziło głośno to zdziwienie.

— Cóż mu się stało?

— Nie może iść, jęczy i ruszyć się nie da.

— Prawdę mówisz?

— Po cóż miałbym kłamać. Niech potwierdzi słowa moje pobożny kapłan.

Aminadab jęknął głośniej.

— Czekać będziecie na Hegai?

— Prosimy was, ktokolwiek jesteście, pomóżcie mi zanieść chorego do świątyni, bo dostojny Hegai nie chciał, by wiedziano, kto mu dostarcza tak przewybornych maści.

— Czy te maści dają życie, czy odbierają?

— Mamy rozmaite: takie, które odmładzają, któ-

re dają piękność, skracają cierpienia i które odbierają życie.

— Dajcie nam tej maści, która odbiera życie, a pomożemy odnieść pobożnego kapłana do świątyni Anahity.

— Damy wam, czego tylko zażądacie, ale musicie przyjść do świątyni.

Podniesiono Aminadaba i szybko podążono do wyjścia. Rzezańcy, stojący przy bramie, nie robili trudności.

Znaleziono się na podwórzu birunu.

— Mogą nas zatrzymać przy bramie?—zauważył Zammamanaddin.

— Nas nie zatrzymują — była odpowiedź.

I rzeczywiście strażnicy otwierali bramy bez najmniejszego wahania, co bardzo zaniepokoiło Zammamanaddina. Domyślał się, że te mniemane „oczy i uszy" królewskie byli ludźmi wysoko postawionymi u dworu, że skoro strażnicy bez namysłu spełniają ich życzenia, muszą być dobrze wszystkim znani. Jak więc się odczepić od nich i co im powiedzieć, gdy zechcą nieść Aminadaba do samej świątyni?

Trzeba jednak koniecznie pozbyć się ich, inaczej bowiem wszystko się wyda i szubienica pewna.

Gdy więc zeszli ze schodów i stanęli przed namiotem Iddiny—rzekł:

— Kapłan jest bardzo chory; należy mu się odpoczynek i nie można teraz nieść go przez ulice miasta, skoro Mitra zaczyna złocić niebo. Złóżmy go więc w tym namiocie pod opieką niewolników, a ja pobiegnę do świątyni po lektykę, wy zaś, dobrzy ludzie, przyjdźcie wieczorem do świątyni Anachity po zapłatę.

— Jak się o was pytać?

— Pytajcie o kapłana Eabani.

Złożono Aminadaba w namiocie; „oczy i uszy"

królewskie poszły do pałacu wejściem, którem wjeżdżały wozy, a Zammamanaddin skoczył po niewolników Aminadaba.

W kilka chwil potem leżał nieszczęśliwy młodzieniec na swem łożu.

Sprowadzony lekarz orzekł, że noga lewa jest wywichnięta i rozpoczął bolesną czynność nastawiania kości na właściwe miejsca.

Rozpoczęła się dla Aminadaba nowa choroba. Cierpienia ciolesne zacierały powoli ten ból serca, jaki mu zadał Achaszwerosz zabraniem Hadassath. Leżał przez kilka dni, pielęgnowany przez lekarzy, których mu sprowadzał Mardochai i Zimmamanaddin. W ciągu tego czasu, zwłaszcza wśród nocy bezsennych, myślał o biednej Sarwii, która mogłaby teraz ukoić jego ból.

Stawały mu żywo w pamięci wszystkie chwile, jakie spędzali razem; słyszał jej głos, widział jej oczy pałające, w półśnie czuł ją przy sobie. Zły był na siebie, że nie otworzył jej ramion w Karkemiszu, gdy przyszła do niego smutna i złamana. Ale najmilsze były mu wspomnienia z ostatniej chwili, jakie przepędził w czasie świąt Adona.

Wspomnienia te rodziły żądzę ujrzenia jej, a żądza ta niekiedy była tak wielka, że odchodził od zmysłów.

Postanowił sobie jechać do Karkemiszu, skoro tylko powróci do zdrowia, aby ją odszukać.

Pewnego dnia wpadł do niego Mardochai rozpromieniony i zawołał:

— Bóg zlitował się nad nami! Hadassath została królową.

Aminadab usiadł na łożu.

— To było pewne, bo nie ma piękniejszej dziewczyny na świecie.

— Nie żałuj jej więc, synu, Bóg to sprawił dla dobra swego ludu.

— Niech będzie imię jego błogosławione!

— Oby tylko była szczęśliwą i nie doznała losu Wasthi.

— Niech się jej szczęści dla dobra wygnańców.

— Teraz mądre są słowa twoje.

— Choroba ciała wyleczyła chorobę duszy.

— Ogłoszono w pałacu wielką ucztę, będą gody weselne. Król nadał Hadassath imię Estery.

— Ester?

— Nie ma już naszej Hadassath, ale jest królowa Ester.

— Takbym chciał widzieć tę czarownicę, która mnie leczyła.

— Poślę po nią.

— Słudzy moi nie mogą jej znaleźć.

— Szukają jej?

— Po wszystkich zakątkach miasta.

— Trzeba się zwrócić do lekarzy, może oni wiedzą o niej.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Zammamanaddin.

— Czy pamiętacie — wołał — jak mówiłem, że Hadassath zostanie królową? Nie omyliłem się.

— A zkąd wiesz o tem?

— Mówił mi Athach, że weszła do króla i podobała się oczom jego i uczynił ją królową na miejsce Wasthi i nadał imię Ester. Pamiętasz, Marduka, jak piliśmy gwiazdę Horusa za pomyślność Hadassath, przyszłej gwiazdy haremu i całego państwa Achaszwerosza?

— Pamiętam.

— Nie mówiłem ci, Aminadabie, że tak będzie, nie powiadałem, że ona stracona dla ciebie?

— Mówiłeś.

— Ale teraz cieszcie się z jej wyniesienia, bo może coś uczynić dla waszego narodu.

— Nikt jeszcze nie wie, że ona Hebrejka—rzekł Mardochai.

— Athach mi przecie mówił.

— Tajemnicę swego pochodzenia odkryła tylko Athachowi, nikomu więcej, a ciebie proszę, nikomu o tem nie powiadaj.

— Pocóż ta tajemnica?

— Wiesz, jakie intrygi są w haremie i jakie niebezpieczeństwo jej zagraża, gdy odsłoni, że jest córką narodu niewolniczego. Jest ona zbyt młoda i niedoświadczona, aby umiała uniknąć nieszczęścia. Gdy będzie potrzeba, odkryje swe pochodzenie.

— Wielki jesteś mędrzec, Mardochai.

— Tybyś tak samo zrobił.

— Nie wiesz, Zammamanaddinie—rzekł Aminadab—gdzie mieszka jasnowidząca?

— Jest ich dużo w Suzie.

— Ta, co mnie leczyła w pierwszej chorobie.

— Na co tobie jasnowidząca, kiedy już zdrów jesteś.

— Ona mi odszuka pewną dziewczynę, którą poznałem u pasterzy aramejskich.

— Chcesz szukać dziewczyny aż tak daleko; małoż ich masz w Suzie?

— Jest ich tu dużo, ale tamta tylko może mi zastąpić stratę Hadassath.

— Dziwny młodzieniec! — zawołał Zammamanaddin — jedną straciłeś, drugiej nie znajdziesz, i po cóż te udręczenia?

— Pomożesz mi odszukać jasnowidzącej?

— Wszystko zrobię dla ciebie. Będę jej szukał po wszystkich zaułkach.

— Oby ci Bóg wrócił ojczyznę!

— Niech ci błogosławią, młodzieńcze, wszyscy, bogowie Assura—zawołał rozczulony i zaraz wyszedł.

Suza i całe państwo Achaszwerosza ucztowały. Gody weselne króla były wspaniałe. Bawili się wszyscy, prócz Aminadaba.

Nagle zrodziła się w nim nieprzeparta żądza ujrzenia Sarwii, a im bardziej czuł się oddalonym od niej, tem większą miał tęsknicę. Co dnia wyglądał ukazania się jasnowidzącej.

Pewnego dnia siedział na ławce kamiennej pod cieniem bluszczu i patrzył na linje zegara słonecznego. Od ulicy dochodził gwar pijanych tłumów.

Marzył o Sarwii, która teraz zdawała mu się nader ponętną. Wywoływał w pamięci wszystkie chwile, od pierwszej do ostatniej, jakie z nią spędził, i serce jego wezbrało taką żałością do całego świata i do niej, jakby to ona była przyczyną ich rozłąki, że łzy zaczęły spływać mu po twarzy.

W głębi alei ukazała się jasnowidząca.

Aminadab pobiegł ku niej.

— Bądź pozdrowiona, pożądana! — zawołał uradowany—przybywaj wlać balsam do serca mego, czekam cię, jako spragniony na puszczy czeka ożywczych kropel dżdżu!

— Cóż ci pomogę, dostojny panie? Lekarstw na twoją chorobę nie mam.

— Powiesz mi o Sarwii, którą chcę odszukać?

— O Sarwii? Któż to jest Sarwia?

Aminadab zdziwił się.

— Nie wiesz o niej?

— Zkąd mogę wiedzieć?

— Mówiłaś mi, że wszystko wiesz; mówiłaś o niej, że płacze na mnie, że chciała być moją niewolnicą, a teraz mówisz, że nie wiesz o niej.

— To ta dziewczyna, która skarży się na ciebie w *hazonach* moich?

Prawdę rzekłaś.

— Czego chcesz od niej?

— Chcę ją widzieć.

— Widzieć?

— Chcę ją mieć przy sobie. Ona będzie mi ukojeniem; chcę wynagrodzić krzywdę, jaką jej wyrządziłem. Ona wołała, abym jej nie opuszczał, a jam był głuchy na jej wołanie; ona była dla mnie słodyczą, a jam był ślepy na jej dobroć. Teraz widzę jej łzy, słyszę jęki, czuję ból.

Czarownica zrobiła ruch, jakby chciała zrzucić zasłonę, która okrywała jej twarz; lecz wyciągnęła do niego obie ręce i zmienionym głosem zapytała:

— Jestże to pewne, co mówisz?

— Słowa moje płyną z głębi serca, wierzaj mi, Hadassath została królową — i nie ma już jej. Jest natomiast Esther. Próżno wyciągałem do niej ręce; inna była wola Boża. Chciałem ją widzieć, Bóg nie pozwolił i ukarał mnie chorobą, w czasie której odmienił mi serce do Sarwii.

— Prędko jej widzieć nie będziesz.

— Dam ci nagrodę, jaką zechcesz, tylko powiedz mi, gdzie ona jest i czy żyje jeszcze.

Czarownica zamyśliła się.

Aminadab pilnie śledził jej ruchy, jakby chciał odgadnąć, co się ukrywa pod tą czarną zasłoną.

Od ulicy dolatywały okrzyki, w których można było wyraźnie słyszeć imię Esther.

W końcu rzekła:

— Gdy wywoływacze godzin ogłoszą z bram pałacowych powtórnie godziny wieczorne, wyjdź do ogrodu na ścieżkę nad stawem i czekaj do pierwszego piania kogutów. Tam dowiesz się o tej Sarwii. a teraz pokój ci, panie. Oby wielka bogini, Athara, miała cię w opiece!

Odwróciła się i wybiegła.

Aminadab nie czekał drugiego wywoływania godzin; poszedł nad staw zaraz po zachodzie słońca.

Wieczór był chłodny. Niebo iskrzyło się milionami gwiazd, gwar na ulicach ucichł, tylko z niektórych dachów dolatywały jeszcze śmiechy i śpiewy; w ogrodzie na drzewach krzyczały salangany, nad wodą w gęstwinie śpiewały pluszcze; modrzyki nurzały się na brzegu.

Aminadab owinął się w płaszcz gruby i chodził po alei.

Myśli jego uleciały do dalekich gór Syryjskich; zatrzymywały się tam na każdym krzaku znajomym, zaglądały do chat pasterskich, rozmawiały z Pullą Achidinem, bawiły się z Sarwią. Było mu dobrze z niemi.

Potem przeniosły się do Karkemiszu i zapragnął, aby wróciła ta chwila, w której najniespodziewaniej ukazała mu się Sarwia. O, jakże inaczejby ją przyjął dziś.

Wywołano drugie godziny wieczorne; robiło się coraz ciszej dokoła; usnęły salangany, zamilkły pluszcze, zginęły modrzyki, ustało życie. Zbliżała się noc, a z nią nastawały te tajemnicze, niewytłómaczone szmery, które napełniają trwogą bojaźliwych.

Aminadab chwytał te szmery z gorączkowym niepokojem; rozbujała jego wyobraźnia z braku przelatującej muszki, lub plusku ryby robiła coś niezwykłego. A im dłużej czekał na tajemnicze wieści, tembardziej wzmagało się podrażnienie.

Nagle coś zaszeleściło głośniej.

Przystanął; serce zabiło mu żywiej.

Szelest się powtórzył i przed nim z gęstego krzewu mangli wysunęła się postać niewieścia. Włosy szerokim płaszczem spadały na nagie jej ramiona; biała szata—rodzaj ketonetu—okrywała jej kibić.

Stała wyniosła, jak olbrzymi kwiat, nad gęstemi liśćmi mangli.

Aminadab patrzył na nią zdumiony i przestraszony. Był blizko niej; noc nie była zbyt ciemna; widział przeto dobrze jej oblicze, a zwłaszcza oczy żarzące, jak dwa ogniki.

Milczeli oboje.

Wreszcie ona wyciągnęła doń dłonie i zawołała:

— Bądź pozdrowiony, Aminadabie!

Ale on drżał, jak liść i słowa zamarły mu w ustach.

— Nie lękaj się—rzekła—przychodzę do ciebie z różdżką oliwną. Pokój ci.

Lecz on zaczął tracić zmysły; oparł się o pień sykomoru, aby nie upaść.

— Nie poznajesz mnie?

Milczenie.

— Mów do mnie!

Zapanował wreszcie nad sobą i zdołał wykształsić:

— Sarwio!

— Nie lękaj się mnie. Chciałeś mnie widzieć; przyszłam. Jeżeli ci to przykro, odejdę.

— O, nie odchodź!—zawołał.

— Mów więc, czego chcesz?

— Żywa jesteś?

— Widzisz, że mówię i ruszam się.

— Myślałem, że jasnowidząca przywołała twą duszę, jak niegdyś niewiasta z Endor wywołała duszę Samuela przed króla Saula.

— Jestem żywa, taką jak byłam w Karkemiszu. Oto, dotknij mojej ręki.

Aminadab wahał się

— Nie lękaj się.

Podała mu obie ręce, które on uściskał i zaczął namiętnie całować:

— Daruj mi, Sarwio!

— Nigdym się na ciebie nie gniewała. Robiłeś

to, co było dla ciebie dobrem. A cóżem ja jest, abym chciała, byś wypełniał wolę moją. Jestem niewolnicą twoją, robić możesz ze mną, co ci się podoba.

— Tyś zawsze dobra, Sarwio!

— Boś mi najmilszy na świecie. Płakałam, gdyś mi zaginął, cieszyć się będę, kiedy cię znajdę.

— Już mnie znalazłaś i mieć będziesz na zawsze.

— Prawdę mówisz?

— Żywie Bóg mój nie porzucę cię więcej!

— Obyś był szczęśliwy!

— Będę z tobą szczęśliwy; niech uschnie prawica moja, jeżeli pożądam innej!

— Bądź błogosławiony!

— Wyjdź do mnie z tego krza kolczastego i pójdź ze mną do domu mego, bo tu zimno dreszczem mnie przejmuje.

— O, nie! z tobą iść nie mogę!

— Gardzisz mną?

— Nie mów tego! Jam niewolnica twoja, ja ci służyć będę, tyś mój Adon, ty moje wszystko, ale iść z tobą nie mogę.

— Czemu tak mówisz?

— Gdy będzie czas, przybiegnę do ciebie, mój ty najmilszy!

— A teraz?

— Teraz? Wiem, że rodacy twoi wybierają się z towarami na Wschód. Jedź z nimi w tę daleką podróż, uspokój się i przekonaj, czy serce twoje nawróciło się naprawdę do mnie.

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę, ale nie mogę iść z tobą, jeszcze nie czas. Bądź szczęśliwy!

Zaszeleściły gałązki mangli i Sarwia zniknęła...

BIBLIOTEKA

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Rok 1897.

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze,** opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego,** w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka,** obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

Rok 1898.

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry,** powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

*24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

*31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

*35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłomacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

Tom.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Rok 1899.

66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*

*68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Dorégo.

81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść

87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska** Studyum krytyczno-literackie.

88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*

89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

Tom.

I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.

92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową *J. A. Święcickiego.*

93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*

95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.

96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona**, w przekładzie Topora.

98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne**, z przedmową.

101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.

102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami,

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami i mapką.

106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.

109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracyami.

110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*

111. **Pamiętnik Generała Wysockiego**, z ilustracyami.

112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz**, powieść z przedmową *Juliana Mohorta.*

III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami

113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustr.

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane**, (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

116. Henryk Szumán. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara.*

117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona** powieść historyczna.

Tom.

121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie**, powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego.*

IV. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami

126. John Ruskin. **Gałązka dzikiej oliwy**, w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski.**

128, 129. Walerya Marrené-Morzkowska. **Błędne koła**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość**, trzeci i czwarty tom pamiętników.

132. Ewweli-Bej. **Suryawansa.** Powieść na tle życia Ormian tureckich.

133, 134. Dr Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, (z ilustracyami).

135. A. Komorowski. **Wspomnienia Podchorążego**, (z ilustracyami).

136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). **Obrazki i Nowelle** z przedmową *Wawrzyńca Szrobara.*

137. Józef Korzeniowski. **Kollokacya**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

138. Karolina Świetlа. **Z naszych Walk i bojów—Oczarowana**, w przekładzie Maryi Czesławy, z przedmową *Bronisława Grabowskiego.*

139. Eliza Orzeszkowa. **Przy dochodzeniu śledczem.**

140. Edward Strumpf. **Obrazy Kaukazu**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.

141. Wanda Grot-Bęczkowska. **Marzycielka**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

142. Juliusz Słowacki. **Poezye liryczne i gnomiczne** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

V. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami

143. Edmund Plauchut. **Chiny i Chińczycy**, w przekładzie H. Michałowskiego, z ilustracyami.

144, 145. Mikołaj Jósika. **Ostatni Batory**, z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową *J. A. Święcickjego.*

146, 147. Marya Rodziewiczówna. **Dewajtis.**

148. Józef Tokarzewicz (Hodi). **W dniach wojny i głodu**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

149, 150. Dr. Sven Hedin. **Przez pustynie Azyi**, w przekładzie Wiktora Doleżana, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.

151. Jonasz Lie. **Ideolog**, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.

Tom.

152. T. T. Jeż. **Jaskółki.**

153. Wiktor Gomulicki. **Opowiadania o Starej Warszawie,** z ilustracyami.

154, 155, 156. Karol Rais. **Patryoci z zakątka,** w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej.

157. Dr. Maks Pettenkofer. **Powietrze i zdrowie,** w przekładzie Maryana Stępowskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

158, 159. Marya Rodziewiczówna. **Na wyżynach.**

160. Ks. Augustyn Kordecki. **Pamiętnik Oblężenia Częstochowy,** z ilustracyami.

161. Anna Neumanowa. **Ze Świata.**

162. M. Szukiewicz. **Z ziemi fjordów i fjeldów.**

163. Klemens Junosza. **Dworek przy cmentarzu.**

VI. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Rok 1901.

164. Michalina Domańska. **Brzydka.** Powieść.

165, 166. Antoni Fogazzaro. **Malombra,** z przedmową *W. Marrené-Morzkowskiej.*

167, 168. Artur Gruszecki. **Na wyścigach.** Powieść.

169, 170, 171. W. Doroszewicz. **Sachalin,** z ilustracyami.

172, 173. O. Ludwik Coloma. **A pfe! — Tumany i kałuże,** z przedmową *Hajoty.*

174, 175. Marya Rodziewiczówna. **Błękitni.** Powieść.

I. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej. — Literatura Babilońsko-Assyryjska i Egipska. (T. I).**

176, 177. Ernest Lavise, Alfred Rambaud i in. **Napoleon I w świetle najnowszych badań.**

178, 179, 180. Hr. Alfred de Vigny. **Cinq-Mars,** przełożył Witold Łaszczyński.

181. Ludwik Ariosto. **Orland oszalały,** w przekładzie Felicyana.

182, 183. Rudyard Kipling. **Od morza do morza,** przekład z angielskiego M. G.

184. Knut Hamsun. **Wiktorya.** Historya miłości.

185, 186, 187. Karol Dickens. **Powieść o dwóch miastach,** w przekładzie i z przedmową *Hajoty.*

II. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej.—Literatura Chińska i Japońska** (T. II).

188. Teodor Jeske-Choiński. **Trubadurowie,** z przedmową *Autora.*

Tom.

189. Matylda Serao. **W biurze telegraficznem.**
190, 191. T. T. Jeż. **Z ciężkich dni.**
192, 193. Paweł Bourget. **Widmo**, tłómaczyła Br. Neufeldówna.
194. El. (Kazimierz Laskowski). **Wiersze i Śpiewki**, z przedmową *A. Września.*
195. Stefan Krzywoszewski. **Pani Jula**, z przedmową *A. Września.*
196. Juliusz Zeyer. **Jego i jej świat**, tłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka, z przedmową *A. Września.*
197, 198. Slatin-basza. **Przez Sudan ogniem i mieczem**, tłómaczył Włodzimierz Trąmpczyński.
199, 200. Eugeniusz Mottaz. **Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre**, przełożyła Jadwiga z Chmielowskich Baranowska, przejrzał i objaśnił *Stanisław Krzemiński.*
III. Julian Adolf Święcicki. **Historya Literatury Powszechnej, — Literatura Arabska.** (T. III).
201. Gomulicki Wiktor. **Wiersze.** Zbiór nowy.
202, 203. Ks. Bolesław Maryański. **Ester.** Powieść.

Wszystkie te dzieła nabywać można oddzielnie w cenie 25 k. za tom broszurowany, lub 40 k. w oprawie, z wyjątkiem dzieł oznaczonych *, których cena od N. R. 1900 podniesioną została na 40 k., oznaczonych **, które kosztują obecnie 50 k., oraz oznaczonych ***, które się liczą po 60 k.

Na przesyłkę każdego tomu, w oprawie lub bez oprawy, dołącza się 10 k.

Ilustr. „Hist. Lit. Pols.“ Chmielowskiego sprzedaje się oddzielnie po rb. 2 za tom, z przesyłką 2 ruble 20 kop., zaś „Historya Literatury Powszechnej“ J. A. Święcickiego po rb. 1 kop. 50, z przesyłką rb. 1 kop. 70 za tom.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174039

Biblioteka WSP Kielce
0122058